Nr. 16. Lwów — Sobota dnia 19 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petit wy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
zaś tłustym g rmondem po . . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Ferdynanda — Sobor ś. Joana
Jutro: F. 2 po 3 Kr. — N. 1 po Boh.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 50
Zachód „ „ 4 „ 33

Długość dnia g. 8 m. 43
Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 18 stycznia.

O wczorajszym wyborze prezydenta rzeczypospolitej francuskiej otrzymujemy następujące sprawozdanie telegraficzne:

Od samego rana pociągi kolejowe jeden za drugim nadchodziły do Wersalu, zwożąc mnóstwo osób z Paryża. Na ulicach Wersalu wzmocniono straże, a na drodze prowadzącej do gmachu zgromadzenia narodowego, w którym miał się odbyć wybór, ustawiło się wojsko szpalerem. Posłowie i senatorowie przybyli prawie w komplecie. Punktualnie o pierwszej w południe wszedł na trybunę prezes senatu Challemel-Lacour i zagaił zebranie.

Już przy pierwszych słowach prezydenta poczęli socyaliści hałasować, jedni domagali się, aby głośniej mówił, inni żądali głosu, chcąc stawiać jakieś wnioski. Prezydent oświadczył, że nie może dopuścić do żadnej debaty i kazał poczynić przygotowania do aktu wyborczego. Na trybunie dla mówców ustawiono ogromną urnę, a posłowie rozeszli się po przyległych salach i korytarzach, naradzając się grupami. Gdy się zebrali napowrót w sali, oznaczono losem, od której litery alfabetu ma się rozpocząć odczytywanie nazwisk. Los padł na literę *L*. Poczęto więc odczytywać nazwiska, a posłowie jeden po drugim wchodzili na podyum i wrzucali kartki do urny. Gdy odczytano nazwisko socyalistycznego posła Mirmana okazało się, że go nie ma w sali. Władza wojskowa nie dała mu urlopu. Socyaliści podnieśli z tego powodu prawdziwie dziką wrzawę.

Odczytywanie dalszych nazwisk odbyło się w spokoju, dopiero gdy wywołano socyalistę Toussaint'a, on wszedłszy na podyum, krzyknął: „Jestem przeciwnikiem prezydentury i wrzucam próżną kartkę. Niech żyje socyalna republika“. Socyalistyczni koledzy dali mu brawo. Nazwiska posła Gérault-Richarda, odsiadującego karę jednorocznego więzienia, nie odczytano wcale, z tego powodu socyaliści znów narobili wrzawy, wołając chórem: „Gérault-Richard“.

Około godziny pół do 5-tej ukończono oddawanie kartek, a wkrótce potem ogłoszono rezultat skrutynium: Brisson otrzymał 338 głosów, Faure 224, a Waldeck-Rousseau 184, zatem żaden z kandydatów nie miał absolutnej większości, i trzeba było głosować na nowo. Kilku posłów postawiło wniosek, aby odroczyć posiedzenie, wniosek ten jednak odrzucono. Waldeck-Rousseau zrzekł się swej kandydatury na rzecz Faure'a.

W drugiem głosowaniu oddano o 25 głosów więcej, aniżeli w pierwszem. Socyaliści i radykaliści zwartym szeregiem głosowali na Brissona i pewni byli jego zwycięstwa. — O godzinie pół do 8-mej wieczorem ogłoszono rezultat ponownego głosowania: Feliks Faure otrzymał 430 głosów, a Brisson 361, w y b r a n y z a t e m z o s t a ł F a u r e.

Gdy odczytano jego wybór, powstał w sali piekielny hałas. Socyaliści rzucali się jak opętani, wołając „Precz ze złodziejami“. Niektórzy krzyczeli „Kongo! Kongo! Idź pan do króla Belgii“, — co miało być alluzyą do tego, że Faure stał w stosunkach handlowych z towarzystwem państwa Kongo. Członkowie prawicy krzyczeli „Precz z komuną“. Posłowie ze skrajnej lewicy i socyaliści otoczyli kołem Brissona i wyprawili mu owacyę. Baudry d'Asson piorunującym głosem odczytał wniosek, domagający się rewizyi konstytucyi, prezes Challemel-Lacour odebrał mu jednak głos. Wśród nieopisanego wrzasku, poczęli posłowie wychodzić z sali. Socyaliści wychodząc, krzyczeli „Niech żyje rewolucya socyalna“.

Po posiedzeniu udali się Challemel-Lacour z całem prezydyum, tudzież Dupuy na czele ministrów do Faure'a i składali mu gratulacye. Dupuy rzekł, że ministrowie cieszą się z tego, iż honor ojczyzny i jej interes powierzono w dobre ręce. Odpowiadając na gratulacye Challemel-Lacour'a, rzekł Faure, że wszystkie swe siły poświęci spełnieniu zadania, jakie go czeka. Od tej chwili przestaje należeć do jakiegokolwiek stronnictwa, lecz chce być sędzią rozjemczym wszystkich i w tym duchu nawołuje do wspólnej pracy wszystkich reprezentantów narodu bez różnicy odcieni republikańskich. Potem wsiadł Faure do galowej karety i otoczony oddziałem kirasyerów, przybył o godzinie 9ej do Paryża, gdzie oczekiwały nań ogromne tłumy ludzi i witały go okrzykami „Niech żyje republika“, „Niech żyje Faure.“ Nowy prezydent udał wprost do pałacu elizejskiego. Wybór jego zrobił zarówno w stolicy jak i na prowincyi bardzo dobre wrażenie.

Feliks Faure urodził się w r. 1841 w Paryżu, ma zatem lat 54. Z zawodu jest marynarzem. Był dawniej naczelnikiem stacyi okrętowej w Hawrze, a w gabinetach Gambetty i Ferry'ego piastował urząd podsekretarza stanu w ministeryum kolonii. W gabinecie Dupuy był ministrem marynarki. Uchodzi za dobrego znawcę stosunków zagranicznych. Wybitnej roli politycznej dotychczas nie odgrywał.

Pierwszą potrzebą nowego rządu węgierskiego stało się uniknąć, jeśli można, walki religijnej, do której pobudką jest ogłoszona 18 grudnia r. z. ustawa o ślubach cywilnych. Nietyle może zamiłowanie w pokoju, ile raczej obawa, że walka wytworzy silny zastęp opozycyonistów katolickich, skłoniła Banffy'ego do zabiegów o porozumienie z episkopatem. Doświadczenie, zrobione w innych krajach uczy, że każda walka religijna wytwarza w prześladowanych ogromną odporność, a walka z katolicyzmem wydobywa na jaw jego wewnętrzną siłę tak wielką, że na końcu kampanii jest zawsze Canossa. Że Banffy pragnie tego uniknąć, dowodzić nie trzeba, jak również to nie ulega wątpliwości, że patryotyzm nakazuje obu stronom szukać punktów stycznych, które pozwoliłyby pogodzić dogmata kościelne z tem, co uchwalając ustawę o ślubach cywilnych, nazywano interesem państwowym. Na nieszczęście jednak nie było szczerości w określaniu tego interesu. Głośno mówiono tylko, że dla statystyki, dla stałej kontroli nad ruchem ludności, dla posiadania notaryalnych dokumentów, niezbędnych przy wszystkich procesach familijnych, a wreszcie dla ułatwienia związków małżeńskich osobom pokłóconym z religią, albo tym, co należą do różnych wiar i chcą w nich pozostać, — potrzebna jest koniecznie instytucya ślubów cywilnych, która zatem wcale nie atakuje ślubów kościelnych. Z katolickiej strony odpowiadano na to, że jeśli tak, to niechże cywilny ceremoniał nazywa się nie ślubem, lecz kontraktem, jak we Francyi, i niech urzędnik stanu cywilnego upomina nowożeńców niepokłóconych z własnym Kościołem, iż ślub przed ołtarzem zawrzeć powinni. Ale na to rząd i jego większość zgodzić się nie mogły właśnie z powodów, o których głośno mówić nie wypadało. A tych powodów było dwa: pierwszy — chęć zbezwyznaniowienia państwa, co leży zarówno w interesie masońskim, jak i w ogóle rządowym; masoński jest zrozumiały sam przez się, a rządowy na tem polega, że skoro, w nowoczesnem pojęciu, państwo jest czemś górującem nad wszystkiem, to obok rządu nie powinien istnieć żaden czynnik równie wpływowy, a więc przedewszystkiem Kościół. Drugim powodem, o którym mówić nie wypadało, było dążenie do madyaryzowania niewęgierskich narodowości za pomocą ślubów cywilnych. Jan, albo Iwan byłby zapisywany w księgach stanu cywilnego jako Istwan, Schwartz przerabiałby się na Feketego i takby to już zostawało na pokolenia następne, a choć w ten sposób zdobytoby tylko etykietę węgierską, ale przy madyaryzującem współdziałaniu szkoły, urzędów i życia publicznego znaczyłoby to bardzo wiele. Otóż te niewyjaśnione cele ślubów cywilnych były decydującemi, a tamte, o których głośno mówiono, tylko pretekstem. To tłómaczy opozycyę. Katolicy węgierscy ze swem duchowieństwem wystąpili do walki jedynie ze względów religijnych, a prawosławni Serbowie i Rumuni, oraz metodyści niemieccy, uznający zwierzchnictwo władzy świeckiej nad duchowną, musieli bronić swych narodowości. Wekerle tak się postawił względem tej opozycyi, że nawet próby kompromisowe były niemożliwe.

Banffy miał w tem wolną rękę. Mógł utrzymywać, że wziął ustawę o ślubach cywilnych z dobrodziejstwem inwentarza, a jeśliby się ułożył z duchowieństwem katolickiem, to odrazu dałby klubowi liberalnemu piękny prezent. Chciał to właśnie uczynić w swym programie, który dziś, albo jutro przedstawi temu klubowi.

Więc, złożywszy gabinet, udał się we wtorek z nowym ministrem oświaty i wyznań p. Własicsem do księcia-prymasa. Wizyta trwała bardzo długo, co już wskazuje, że mylnie utrzymują liberalne dzienniki, jakoby ona była tylko aktem grzeczności towarzyskiej. Dzienniki katolickie zapewniają, że podczas tych odwiedzin przeprowadzono formalną dyskusyę o ślubach cywilnych i że książę-prymas wskazał na ostatni list pasterski biskupów, jako na wyraz kierunku, od którego duchowieństwo odstąpić nie może. Otóż w tym liście powiedziano:

„Tak wyłuszczyliśmy wszystkie ubliżenia, jakie owa instytucya (ślubów cywilnych) mieści w sobie przeciwko naszej wierze, wolności, Kościołowi, i zaznaczyliśmy nietylko niebezpieczeństwa, jakie z niej wynikają dla rodzin chrześciańskich, dla fundamentów państwa, dla ładu społecznego i dobrobytu państwa, ale nadto nieszczęścia, jakie ona wedle smutnego doświadczenia innych ludów ściąga na państwo... Ogłaszajcie tedy wiarę Kościoła, bez względu na ludzi, bez obawy trudności i pouczajcie wszystkich, co z wiarą i przykazaniami kościelnemi się zgadza, a co się im sprzeciwia i napominajcie wszystkich, aby wiarę, wśród wszelkich zmian rzeczy, wśród choćby najtrudniejszych okoliczności, wyznawali tak, jak chrześcijanom przystoi... W tych smutnych czasach poświęćcie wszystko, co tylko prawo boskie i ludzkie poświęcić pozwala, na zabiegi o to, aby chrześcijańskiemu małżeństwu oddano należną cześć, a Kościołowi i wierze świętej — prawa“.

List pasterski głosi nadto, że biskupi uczynili wszystko dla powstrzymania ustawy o ślubach cywilnych. „Ale, niestety — wołają biskupi — wszystkie nasze usiłowania i starania pozostały bezskutecznemi. Jest więc teraz naszym obowiązkiem postąpić wedle Pisma Św.: „„podnieść lud nasz pochylony.““

Z tego wynika, że katolicy gotowi są do walki podług metody niemieckiego centrum. W tem jeno kwestya, czy znajdą oni swojego Windhorsta. Na czoło ich wysuwają się dwaj zupełnie majątkowo niezależni ludzie: Esterhazy i Zichy, obaj niezawodnie najlepszych chęci, ale z mistrzowstwa politycznego dotąd nieznani. W każdym jednak razie, już jest faktem to, że Banffy nie zrobi klubowi liberalnemu prezentu ze zgody katolików na ustawę o ślubach cywilnych.

W Niemczech zupełnie się rozwinął sezon parlamentarny, bo i wszystkie sejmy otwarto. W nich panuje to samo kwaśne usposobienie, co i w parlamencie. Cesarz Wilhelm II w swej mowie do sejmu pruskiego przeważnie powtórzył to, co rzekł do parlamentu, więc sucho wyliczył trudności finansowe, wymagające nowych źródeł dochodu, a rozgrzał się tylko malując fatalne położenie rolnictwa i również okropne położenie społeczeństwa, zagrożonego przez wzrost wywrotowych dążności. Samo złączenie tych dwóch okoliczności przez cesarza każe się domyślać, iż zdaniem rządu poprawa stosunków rolniczych zatamuje przypływ idei wywrotowych, przeciw którym równocześnie wystąpią wszystkie czynniki państwowe, uzbrojone w nowe środki, jakie daje rozpatrywana teraz przez parlament ustawa antisocyalistyczna. Ta zapowiedź opieki nad rolnictwem, połączona z widokami, do jakich uprawnia zwrot ku dobrej komitywie rządu z Bismarkiem, napełnia junkrów wielką radością, podzielaną przez liberałów tylko w części dotyczącej bismarkowstwa, a niepodzielaną zgoła na punkcie opieki nad rolnictwem, bo oni z tego przewidują jakieś uszczerbki dla siebie. Postępowcy i ludowcy patrzą w przyszłość zupełnie czarno.

Taki rozkład humorów całkiem odpowiada sytuacyi. Sądząc bowiem ze wszystkiego, nadchodzą czasy specyalnie pomyślne dla junkierstwa, a dla konserwatyzmu w ogóle o tyle jeno, o ile to nie szkodzi junkierstwu. Nie ma tedy mowy o zerwaniu z socyalizmem państwowym, który krępuje samodzielność obywatelską, ani o zmianie systemu szkolnego, który z młodzieży robi nie ludzi, lecz karyerowiczów, ani o usunięciu przesadnej centralizacyi, w skutek której armia urzędników stała się liczniejszą od armii stojącej pod bronią. Za to rząd daje do zrozumienia, że przy pewnych okolicznościach mógłby wziąć pod rozwagę zeszłoroczny projekt hr. Kanitza, aby ustanawiana była cena rolniczych produktów w ten sposób, że do kosztów produkcyi doliczałoby się coś na konto amortyzacyi kapitału, włożonego w ziemię, i coś na konto zarobku rolnika, a po tak uzyskanej cenie rząd brałby od rolników ich produkta na wyżywienie armii, marynarzy i więźniów. Nie byłoby to nic nadzwyczajnego, bo już rząd bawarski kazał intendanturze brać od chłopów zboże i siano na rachunek podatków. Ale to nie jest żadną reformą społeczną, któraby zadowolniła konserwatystów, chociaż jest niezaprzeczoną korzyścią dla junkrów.

Dalej rząd daje do zrozumienia, że również przy pewnych okolicznościach gotów jest przystać na żądanie centrum, ponawiane co roku, aby cofnięto banicyę zakonu Jezuitów i Redemptorystów. Był nawet tak uprzejmy, że zgodził się, aby ten wniosek, przyjęty w roku przeszłym przez parlament, lecz odrzucony przez Radę Związkową i z tego powodu znowu teraz postawiony przez centrum, nie leżał w biurze prezydyalnem, lecz odrazu przyszedł pod obrady izby, które właśnie we środę zaczęły się nad tym przedmiotem.

Łatwo się domyśleć, jakie-to są owe „pewne okoliczności“, od których rząd czyni zawisłą swą uprzejmość dla junkrów i centrum. Mianowicie dużo mu zależy na tem, aby bez uciekania się do środka tak niewygodnego, jak rozwiązanie parlamentu, uzyskał ustawę przeciw socyalistom. Następnie życzy, aby izba zgodziła się na obostrzenie swego regulaminu podług projektu prezydenta Levetzowa, a projekt ten zawiera takie trzy żądania: prezydent ma prawo wydalić deputowanego z izby na pewną liczbę dni; ma prawo udzielać deputowanym nagany i ma prawo określać w pewnych granicach minimum deputowanych, uprawnione do prawomocnych uchwał. To ostatnie żądanie jest umotywowane tem, że deputowani coraz częściej zastosowują metodę dekompletowania izby. Wreszcie ma jeszcze rząd różne żądania z zakresu marynarki, a podobno także z zakresu monopolów.

Sprawy sejmowe.

(Fundacya Stanisława hr. Skarbka).

W przedłożonem Sejmowi sprawozdaniu o tej fundacyi za lata 1893 i 1894 konstatuje Wydział krajowy, że gospodarka tej fundacyi pozostawia niejedno do życzenia. Corocznie bowiem są niedobory, co zdaniem Wydziału krajowego, nie rzuca korzystnego światła na gospodarstwo fundacyi, uposażonej tak wyjątkowo bogatymi zasobami. Przy uchwalaniu budżetu na rok 1894 okazała się potrzeba uchwalenia dodatkowego kredytu na rok 1893 w kwocie 17.021 zł. Rada administracyjna fundacyi postanowiła te wydatki pokryć sprzedażą lub obciążeniem dóbr Kulikowa, należących do funduszu obrotowego fundacyi i udała się do Wydziału krajowego z prośbą o zatwierdzenie tej uchwały. Wydział krajowy jednak wstrzymał się z zatwierdzeniem tej uchwały i postanowił traktować ją łącznie z niedoborami jakie okażą się w gospodarce fundacyi w ciągu roku 1894 i w ogóle w związku z całą sytuacyą finansową fundacyi. Prócz tego bowiem niedoboru będzie miała fundacya do pokrycia koszta asanacyi gmachu teatralnego, wydatki z powodu powiększenia personalu szkoły ludowej męskiej w Drohowyżu, wreszcie znaczne wydatki z powodu zamierzonej a nieodzownej reorganizacyi nauki rzemiosł w zakładzie drohowyskim. W sprawie tej reorganizacyi sprosiła rada administracyjna fundacyi ankietę, która ma wskazać jakie reformy przedsięwziąć należy. W skład tej ankiety wchodzą pp. dr. Józef Wereszczyński, Tadeusz Romanowicz, Michał Michalski Franciszek Zima, ks. Jerzy Czartoryski, August Sołtyński, Jan Franke, Zygmunt Gorgolewski, Wojciech Kosiba, Józef Wczelak i Stanisław Ciuchciński. Reorganizacyę Zakładu drohowyskiego rozpoczęto od tego, że uwolniono dyrektora od wszelkich zajęć administracyjnych, ażeby mógł poświęcić się [illegible] niu wychowawczem[illegible]. W tym celu utworzono posadę rządcy, kt[illegible] dyrektorowi, a zarazem [illegible]go personalu administracyjnego. Na posadę dyrektora Zakładu drohowyskiego mianowała rada administracyjna prowizorycznie na rok jeden p. Michała Stepka, dotychczasowego profesora niższej szkoły rolniczej w Dublanach.

Po wprowadzeniu p. Stepka w urzędowanie, zalecił Wydział krajowy radzie administracyjnej fundacyi, ażeby przeprowadziła reorganizacyę szkół istniejących w zakładzie Drohowyzkim w ten sposób, iżby one pod względem swej organizacyi i całego urządzenia odpowiadały w zupełności równorzędnym szkołom publicznym. Jakoż istotnie już z początkiem roku szkolnego 1894—95 wprowadzono nową organizacyę szkoły ludowej w Drohowyżu, a mianowicie przekształcono dotychczasową 4-klasową szkołę na 6-klasową z planem naukowym szkół typu miejskiego, gdyż taki plan naukowy odpowiada najlepiej potrzebie kształcenia chłopców na przyszłych rzemieślników. W tym roku wprowadzoną została klasa piąta, a w przyszłym wprowadzoną będzie także szósta.

---

4)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez ***Nagodę.***

(Ciąg dalszy).

— Pan nie śpiewa? — zagadnęła nagle Tola.

— Nigdy w życiu, ale po tem zapytaniu widzę, że pani śpiewać musi, — o niech mi pani zaśpiewa co, zanuci przynajmniej, coś polskiego! już tak dawno nie słyszałem „swojej piosenki“.

Tola skinęła głową z przyzwalającym uśmiechem i podniosła oczy wysoko, wysoko na błękitne sklepienie niebios; zdawała się szukać aż tam echa jakiejś pieśni.

Edmund nie potrzebował patrzeć tak w górę; naprzeciw niego siedząca postać młodej dziewczyny, więziła na tę chwilę wszystkie jego myśli i uczucia, przykuwała wzrok czarem piękności oryginalnej jakiejś, więcej pociągającej na srebrnem tle wody w rażących promieniach słońca, niż mogłaby być w najświetniejszej toalecie, w banalnem otoczeniu salonów. Z twarzy jej, lekko zarumienionej, biło wzruszenie nieujęte ale udzielające się; zaczęła śpiewać z początku niby od niechcenia, potem coraz silniej i z większym wyrazem; prosta, ludowa nuta długiem echem poszła po wodzie, drgały w niej tony, które zdawały się wydobywać gwałtem aż z głębi serca:

Każut lude szczom szczasływa
Ja z toho smiju sia...

Śpiewała z takiem przejęciem się, z taką prawdą, jakby w każde słowo wkładała kawałek duszy! Gdy umilkła, serce jej tak biło pod błękitnym stanikiem sukni, że czuła się prawie zdyszana.

Ściągnęła jedną rękawiczkę i zanurzyła rękę w chłodnej, srebrzystej wodzie.

Edmund patrzył na nią i nie śmiał przerwać milczenia, które między nimi zapanowało; nie podziękował ani jednem słowem, zdało się mu, że ją obrazi, gdy piosnkę tę przyjmie na swój rachunek.

— Pani lubi ludowe pieśni? — zagadnął wreszcie, poczuwając się do obowiązku powiedzenia czegokolwiek.

Ona wstrząsnęła się trochę, słysząc to obojętne, powszednie pytanie; jej własny śpiew przejął ją dzisiaj, rozegzaltował, była wyjątkowo w takiem szalenie szczerem usposobieniu, jakie napada czasem osoby bardzo zamknięte w sobie. Gdyby ktokolwiek w tej chwili targnął jej sercem, dowiedziałby się wszystkiego co tam na dnie leżało, czuła potrzebę fizyczną prawie wyspowiadania się; zdawało jej się, że w takiej spowiedzi rzuciłaby przeszłość swoją po za siebie na zawsze. Powstrzymywało ją od tego tylko uczucie przyzwoitości. Ale prowadzić w tej chwili obojętnej rozmowy nie była wstanie.

— Lubię, zaśpiewam panu jeszcze co; czy dobrze?

Edmund spojrzeniem wyraził swoją wdzięczność, więc zaczęła śpiewać i śpiewała jedną po drugiej pieśni swoje i obce, wesołe i smutne, nie czekając, ażeby ją prosił, nie zważając, że śpiewem tym sieje zgorszenie w sąsiedniej łódce między pannami Bilewskiemi, które śpiewanie na wolnem powietrzu, bez akompaniamentu fortepianu, uważały za rzecz przeciwną dobremu wychowaniu.

Gdy obie łódki przybiły do brzegu w „Insel Müllert“ poprzednie wzruszenie i nieokreślony smutek Toli minęły bez śladu, popłynęły razem z pieśniami gdzieś daleko po wodzie — teraz połączywszy się z resztą towarzystwa rozmawiała i uśmiechała się swobodnie; Edmund przeciwnie był zamyślony i małomowny, ale oka z niej nie spuszczał.

W ciasnym ogródku, siedząc na wysokich, wąskich krzesłach wypito czekoladę, której główną ponętą miał być zalotny uśmiech ślicznej kawiareczki, przebranej w narodowy, jaskrawy ubiór Egerländerów, odsłaniający jej białą szyję i ręce w bardzo powabny sposób.

Należało myśleć już o powrocie, bo zresztą słynna „Insel Müllert“, prócz tego, że była celem wodnej przejażdżki, sama w sobie nie przedstawiała nic ciekawego do widzenia. Ostatniem jeszcze uprzyjemnieniem tej miejscowości dla zwiedzających była możność zapisania swych nazwisk w olbrzymiej pamiątkowej księdze — umieszczonej na wysokim pulpicie w otwartem oknie kawiarni u wejścia do ogródka.

Panny Bilewskie postanowiły nie omijać tej sposobności uwiecznienia swego podpisu — wniosek ich wzięto pod rozwagę i po długich naradach zgromadzeni zaczęli się podpisywać jedni pod drugimi, na dużej karcie pożółkłej już trochę, — narzekając przytem na gęstość atramentu, złe pióro, nierówny papier itp.

Tola oświadczyła kategorycznie, że się nie podpisze, bo nie chce, aby wszyscy mogli krytykować jej kaligrafię, a nie potrafi napisać porządnie, tak przegięta naprzód do ustawionego wewnątrz pokoju pulpitu.

— Jeśli tylko to panią wstrzymuje, to poradzimy bardzo łatwo — rzekł Edmund — i podniósłszy księgę z pulpitu, oparł ją sobie na piersiach, podtrzymując u dołu obiema rękami.

— Niech pani pisze teraz, będę stał niewzruszony jak mur, może mi pani nawet na głowie kałamarz postawić.

Tola zawahała się, oczy wszystkich były na nią zwrócone, — naturalnie, że w spojrzeniu kobiet nie czytała wielkiej zachęty, mimo to, a może właśnie dlatego, postąpiła do Edmunda z piórem w ręku.

„Tola Czarmalińska“ — litery wysuwały się z pod jej palców nierówne jakieś, trochę drżące; nie śmiała podnieść powiek ani na sekundę, aby nie spotkać się z oczyma Edmunda, które czuła tak blisko siebie, obejmujące ją pełnem wyrazu spojrzeniem. Gdy niepewną ręką skreśliła ostatnią literę i podniosła nareszcie głowę, policzki jej płonęły.

Pani Wilma stanowczo zawiodła się na Toli; biorąc ją ze sobą do Francensbadu liczyła na to, że będzie z niej miała przyjemną i wygodną towarzyszkę, gotową w każdej chwili bawić tych, których obecność ciężyłaby młodej pani, a umiejącą się dyskretnie usunąć w razie, gdyby pani Wilma znalazła sobie milsze towarzystwo i nie potrzebowała chwilowo ani swej kuzynki, ani swego męża. Tymczasem cóż się stało? pierwszy i jedyny możliwy towarzysz, jaki im zaszedł drogę we Francensbadzkiej pustyni, został przez Tolę pochwycony, szturmem wzięty; tak z oburzeniem powtarzała sobie w duchu pani Wilma. — Kokietka! co się też to z niej w ostatnich latach zrobiło, taka była nieśmiała i dobrze wychowana, kiedy raz pierwszy woziłam ją do Krynicy. I żeby to jeszcze można przypuszczać, że będzie coś z tego na seryo!

Przywiezienie z zagranicy świetnego konkurenta ubogiej kuzynce byłoby jakkolwiek pochlebiało pani Wilmie i bawiło ją: baronowa Zenejda już od czterech lat obwozi swą pasierbicę po wszystkich miejscach kąpielowych i nic z tego; powiadają, że macocha trochę za młoda i zanadto osobisty bierze udział w sercowych sprawach przybranej córki. Wilma byłaby jej dała przykład, jak to trzeba umieć poświęcać się i usuwać z drogi, gdy chodzi o ustalenie losu biednej dziewczynie, — ale cóż z tych wszystkich pięknych postanowień, kiedy niestety nie robiła sobie żadnych iluzyi co do zamiarów Edmunda.

Historya kopciuszka nie powtarza się już dziś po świecie, a Edmund Dziewoński był tak bogaty, świetny, słynący w swojem kole z piękności i rozumu, że zajęcie się jego i ożenienie z Tolą do takich chyba bajecznych faktów zaliczaćby można.

Ale dlaczego pragnąc się tylko przyjemnie bawić, przekładał rozmowę z Tolą nad „piquantes“ pogadanki z mężatką, tego nie mogła pani Wilma zrozumieć i tem się gorszyła. Nie żal jej było ani troszkę, że nareszcie musi już wyjechać z Francensbadu; bywają w życiu okoliczności niezbyt zabawne, których przedłużać nie ma potrzeby.

III.

Tłumy publiczności cisnęły się na peron Francensbadzki w chwili odejścia pospiesznego pociągu. Sezon miał się już ku końcowi, to też co dnia odchodziły z przed tego peronu wagony pełne pięknych pań, bukietów i ręcznych pakunków, żegnane przez pozostających. Pan Edmund, doktor i pani Bilewska z córkami odprowadzali państwa Henryków i Tolę, rzucając im na drogę mnóstwo róż i goździków, których nieuniknionem przeznaczeniem było pozostać w wagonie już na następnej stacyi przy zmianie pociągów.

Doktor stojąc na uboczu z p. Henrykiem, wykładał mu coś o zbawiennem działaniu francensbadzkich wód i o nieocenionych skutkach ubiegłego sezonu w zdrowiu pani Wilmy. Tymczasem jego wdzięczna pacyentka nie mogła do niego przemówić ani słowa, tak była zagadana, oblężona przez rodzinę Bilewskich.

— Co my tu bez państwa robić będziemy? Moje panienki tak pokochały Tolusię, że marzą już tylko o wyrwaniu się w zimie do Lwowa, do kochanych pań, wszakże będziemy się tam widywać?

— Ależ i owszem, bardzo nam będzie miło, — zapewniała uprzejmie pani Wilma, postanawiając sobie w duszy „nie być w domu“, jeśliby na prawdę Bilewskim przyszła fantazya odwiedzenia jej we Lwowie. Przecież takie kąpielowe znajomości nie obowiązują do niczego, można się bardzo kochać u wód, gdzie się nie ma nikogo ze swoich, a nie znać się wcale u siebie, w obec dobranego kółka swoich znajomych.

Edmund i Tola zajęci byli opodal trochę zapinaniem nieposłusznych rzemyków jakiegoś tłumoczka.

— Czy państwo będą zatrzymywać się w Wiedniu?

— Tak, parę dni; cieszę się, że usłyszę „L'amico Fritz“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W końcu podnieść należy, że uchwałą z 25 czerwca 1894 postanowiła rada administracyjna fundacyi skarbkowskiej za kapitały uzyskane z indemnizacyi propinacyjnej nabyć dobra Rabka z przyległościami, uchwała ta jednak nie została jeszcze zatwierdzona przez władze nadzorcze.

Ruch ludowy w Galicyi.

II.

Na walnem zgromadzeniu „Związku stronnictwa chłopskiego" p. Stanisław Potoczek, rozwijając program tego Związku, zaznaczył, że chłopi, żądając na pierwszem miejscu r ó w n e j m i a r k i, chcą, żeby ich wszyscy uważali za równych sobie obywateli kraju i państwa i do równych praw ich przypuszczali. Równocześnie atoli skonstatował, że na tem polu daje się widzieć jakiś postęp ku lepszemu. Drugim punktem programu „Związku", według słów Potoczka, jest sprawa podniesienia stanu włościańskiego i sposoby tego podniesienia. „Sama równa miarka, żeby była jak najsumienniej przestrzegana" słowa p. Potoczka „to jeszcze stanu włościańskiego nie zdoła podnieść z upadku. Stan włościański leci do upadku, bieda szerzy się coraz bardziej; to jest prawda, której nikt nie zaprzeczy."

Nawiązując do tych słów, pisze ks. Badeni dalej jak następuje: „Tak, to najbardziej boląca rana. „Bieda szerzy się coraz bardziej", wszędzie słowa te posłyszysz; od wsi do wsi, jak widmo straszne idą za tobą.

„Nędza okrutna między ludem w mojej okolicy" żali się kilkowioskowy szlachcic. „Znam np. rodzinę, gdzie jest dziewięcioro dzieci, a nie ma już ani kapusty, ani kartofli. W zimie dzieci w koszulkach krajką tylko przepasanych biegają po śniegu, po lodzie. Czy zarobićby sobie, losu poprawić nie mogli? Do mnie na kosbę górale przychodzą i jeden zarobi sobie 60, ba do 70 guldenów na miesiąc. Góralska dziewka zarobi do 25 guldenów. Prawda, nie umieją nic innego, tylko kosić; ale jak oni koszą, aż skry lecą. Próbowałem z ludźmi z mojej wsi, ale nie poszło; dwunastu kosarzów tutejszych zrobiło tyle, co czterech góralskich. Jak tu nędzy być nie ma?!"

„Zarobku nie ma, robić co ludzie nie mają" opowiada zgodnie kilku proboszczów, wikarych. „Zapewne po dworach, po plebaniach jest dla pewnej liczby jaki taki zarobek, ale przyznać trzeba, że mały, i który absolutnie wystarczyć nie może przy dzisiejszych zwiększonych cenach i potrzebach, tym przedewszystkiem, którzy już z rozmaitych pieców chleb jedli, i widzieli, jak gdzieindziej na świecie wygląda. Pan źle się ma, zboże nie popłaca, podatki, dodatki do podatków coraz większe; i ksiądz ma się źle; z próżnego nie naleje, a gdyby więcej płacili, musieliby nie raz, nie dwa ze swego dodawać."

„Swoją drogą, bardzo nizkie zarobki. W czasie żniw dzienna płaca waha się od 30 do 50 ct.; w zimie przychodzą dziewki do młócki za 20 ct.; bywają miejscowości, że tylko 15 ct. im płacą. Jak tu z tego wyżyć i z tego morga, pół morgi koło walącej się chałupiny? Dawniej jechało wielu do Ameryki i stamtąd przysyłali, przywozili dolary. Dziś amerykańska emigracya bardzo osłabła, bo już i tam silnych rąk mają dosyć. Pewna, stosunkowo nieznaczna liczba ma zarobek przy nafcie; inni — często wszyscy młodzi i silniejsi z całej [illegible] gromadami „do świata": do Rum[illegible] Bukowinę, do pracy w polu, do paszenia bydła, do mularki po miastach; jeszcze inni znajdują pracę w lwowskich, przemyskich cegielniach. Dawniej przyjeżdżali osobni ajenci z Węgier, z Rumunii, dziś zagraniczni panowie, rządzcy, przedsiębiorcy, mają prawie w każdej gminie kogoś zaufanego i piszą do niego, wielu i jakich robotników potrzeba. Ludzie idą, bo i kwestya chleba do tego ich zmusza i chętka większej swobody pociąga; ale ten kawałek chleba, to rozejrzenie się po szerokim świecie zbyt gorzko często okupują i moralnie i nawet materyalnie. Najgorsi „Węgrzy", „Lwowiacy" — jak my ich tu nazywamy. I „Amyrykanom" przewracało się często w głowach, chcieli o wszystkiem sądzić i rozumować z amerykańskiego punktu widzenia, wracali z tak zniszczonemi siłami, że już naprawdę do żadnej roboty nie mogli się zabrać; ale wracali przynajmniej z pieniędzmi w kieszeni i jakoś, choć pewien czas, mogli biedę klepać. A teraz, z pewnymi wyjątkami ludzi starszych, żonatych, którzy istotnie grosz sobie ciułają, całe tłumy emigrujących parobków tracą wiarę, cnotę, zdrowie, wyszli biedakami i wracają biedakami. „Węgier" za miesięczną lub sześciotygodniową kampanię zarobi 4 reńskie i korzec pszenicy albo trochę kartofli; tu się napije, tam pohula i wszystko przepuści. — „Lwowiak" wypoleruje się tak, że głośno szydzi z wiary, z obyczajów; rozszerza po całej wsi najobrzydliwsze pieśni, najskrajniejsze zasady, chełpi się, że jest „socyalistą" i ultrasocyalistyczne zasady w praktykę wprowadza. O „węgierskich", „lwowskich" dziewczynach lepiej zupełnie nie mówić".

Gorliwy proboszcz, z którego parafii do 400 chłopów i chłopców „do świata" wychodzi, skarży się:

„Rozumiem dobrze, że bieda wielka, że koniecznie potrzeba ludowi nowe źródła zarobku otworzyć. Próbowałem też młodych, zdolniejszych chłopców pchnąć to do tkactwa, to do koszykarstwa — to oddać ich do krawieckiego, kowalskiego terminu. Pokręcili głową i poszli do Lwowa, bo tam — swoboda".

Z innych parafii ciągną to w tę to w tamtą stronę karawany, złożone z paruset, z kilkudziesięciu robotników; wypychają ich z rodzinnego sioła różne powody: chęć większej swobody, zobaczenia świata, ułudne opowiadania ajenta, ale na pierwszem miejscu wypycha ich bieda. Emigracyjny prąd, to jeden tylko z objawów i dowodów tej biedy, na którą, gdyby naprawdę dowodów było potrzeba, dość byłoby przejść przez próg każdej prawie z kolei wiejskiej chałupy; przypatrzyć się, zapytać, jak żyją jej mieszkańcy, co jedzą, jak się ubierają, ile zarabiają? Odpowiedzą i opowiedzą mniej więcej to samo, co słyszeliśmy we dworze, na plebanii, w kamieniczkach najbliższego powiatowego miasteczka.

Bosa pasterka z Haczowa (pow. brzozowski), głośnego do niedawna z wyjątkowego dobrobytu, zapomina na chwilę o ukochanej „Gryzuli", „Madziarze", „Opałeczce", których dotychczas rzadkie przymioty wysławiała, i lamentuje:

„Dawniej u nas gospodarze dobrze się mieli, dziś każdemu coraz cięższa bieda doskwiera. We wsi już przeszło stu żydów; mają dwa sklepy, propinacyę. I Kółko rolnicze ma sklepik, ale ludzie więcej do żydów idą. Do Ameryki dużo od nas poszło. Dziewczyn także dużo poszło i wszystkie się wydały. Piszą, że co do ciała, to dobrze; ale co do duszy, to źle. Do Węgier biedniejsi idą; dobrze im tam — nie dobrze, ale co mają robić?"

Dorodny parobek z pod Iwonicza, przybrany w żołnierskie czerwone pantalony, w brudny, kusy, na wszystkie strony dziurami i plamami świecący, u żyda na tandecie, nie wiedzieć po kim, kupiony tużurek, — recytuje monotonnie, ale nie bez pewnej ironii w głosie, zarobkowy cennik:

„Chłop w żniwa bierze po 40 cent.; w zimie po 18 do 20 centów. Dziewka w lecie 25, najwyżej 30 cent., przy sianie 15 ct., w zimie przy maszynie 12 ct. To trudno wyżyć, proszę jegomości".

„Głód — czytamy w *Związku chłopskim* — panuje w okolicach górskich powiatu staromiejskiego, a najdotkliwiej w ubogiej wsi Topolnicy, narażonej od szeregu lat na ustawiczne klęski powodzi, skutkiem wylewów Dniestru i Topolnicy. Miejscowa ludność żywi się gotowaną gorczycą i innem zielskiem, w braku lepszego pokarmu... Piszą nam, że za całodzienną pracę w polu płacą w Topolnicy 14 ct.!..."

Józef Moryś, włościanin z pod Wojnicza, opisuje nędzę w Brzeskiem. „Jako samouk i jeszcze przypięty w tej nędzy galicyjskiej, jak chruściel w trawie, piszę parę słów i dowiaduję się, czy wszędy taka rozkosz, jak u nas tu koło Wiśnicza w górskich okolicach. Jak mi znane okoliczne wioski, to nie wiem, czy jest na sto gospodarzy jeden, któryby na przednowku nie kupował. A żebym nie przesadził, lepiej mówić będę mniej, niż jest. Więc zaznaczę, że na sto, 25, co to mają od jednego morga do trzech, to już od wiosny nie ma czem psa wygnać z domu... Może kto pomyśli, że tu pijaki albo próżniaki. Nie, bracie drogi, tu właśnie jest lud pracowity, choćby za piętnaście centów to pójdzie, ale tu w naszych stronach chyba druga Syberya. Fabryki nijakiej, kopalni tak samo; jest pokład węgla u nas w tej górze, bo przed paru laty pewien pan szukał, to się znajdowały, co już kowale przy nich robili, ale gdzieś głęboko; kieszeń mu zmalała i uciekł. A do dworu na robotę nikt nie pójdzie, bo deszcze przeszkadzają od wiosny".

Podobnemi wynurzeniami, listami z najrozmaitszych stron kraju, możnaby spory tom zapisać. Dajmy na to, że z niektórych pesymizm wieje, że jakiś szczegół, cyfra, niezupełnie ściśle rzeczywistości odpowiada; to i tak arcyniewesoły obraz nam malują i w całej pełni tłomaczą rzucone hasło: „Podnieść trzeba stan włościański!". Bardzo ważna to sprawa, jak prawdziwie stwierdził p. Potoczek w Nowym Sączu i bardzo prawdziwie zauważył, że dotąd za mało nad nią zastanawiano się. Ściślej mówiąc, zastanawiano się już nad nią niejednokrotnie, ale nie wymyślono praktycznych sposobów, któremi owo, na pierwszem miejscu, ekonomiczne podniesienie dałoby się do skutku doprowadzić. Tu sęk, jak mówi nasze przysłowie; na tym punkcie chromają wszystkie ludowe programy, stronnictwa; temu — prawda, że najtrudniejszemu, bywa, a co najmniej wydaje się czasem, że wprost nierozwiązalnemu — pytaniu boją się zazwyczaj odważnie oko w oko spojrzeć.

Nadzwyczaj wiele, najwięcej zrobiły i wciąż robią w tym kierunku „Kółka rolnicze" mniej lub bardziej ściśle związane z niemi chrześcijańskie sklepiki, gospody; robią wiele, słychać o nich niewiele, bo kłócić się nie lubią, do organu swego prywatnym niechęciom wstępu nie dozwalają. *Związek chłopski* nawołuje do „prawdziwie narodowej polityki", do powiększania i pomnażania gospodarstw chłopskich przez nabywanie przy parcelacyi obszarów dworskich; dla umożebnienia kupna domaga się: 1) tanich i dogodnych pożyczek na procent i na spłatę małemi ratami; 2) usunięcia przy parcelacyach wyzysku. Redaktor *Wieńca* i *Pszczółki* utrzymuje, że za jego pracą „Kółka rolnicze" powstały i wzrosły, ale później zdezerterowały; dopomógł do założenia ludowego Towarzystwa ochrony ziemi, ale Towarzystwo to również zdezerterowało, a założyciela nawet za członka swego nie chciało uznać; dopomógł do założenia „Związku chłopskiego" i „Związek" fatalną koleją losu zdezerterował; wreszcie założył „Macierz katolicką", która dotąd prócz pisemek i broszurek swego założyciela nic podobno jeszcze nie wydrukowała. Co zrobili redaktorzy *Przyjaciela ludu* i grupujący się koło nich obóz? Napróżno szukamy odpowiedzi w faktach, w sprawozdaniach sejmowych, w rocznikach *Przyjaciela*, w historyczno-programowem przemówieniu p. Wysłoucha na walnym wiecu chłopskim we Lwowie. Dużo słów, dużo przeróżnych pomysłów, dużo zasianego hojną ręką rozgoryczenia, dużo plew i kąkolu — ale też na tem koniec.

Anglik o Francuzach.

VII.

Tom drugi, zaczynający się od drugiej Rzeczypospolitej, mniej już przedstawia zajęcia dla naszego czytelnika, tak z powodu ogólnych wypadków, powszechniej już znanych, jak i ze zbytniego zgłębiania wypadków czysto lokalnej natury. Dotkniemy więc tylko ciekawszych kilku wydarzeń i szczegółów, mających tę przedewszystkiem wartość, że tchną czystą prawdą, a w każdym razie płyną z najosobistszej i najbezpośredniejszej obserwacyi.

Autor powtarza z pewną zaciętością zarzut powyższy, między innemi z powodu Lamartin'a, mówiąc, że ogłosił on rzeczpospolitą, dlatego, ażeby uniknąć sfory wierzycieli, i przytacza na dowód własne jego słowa, wyrzeczone dnia 11-go września 1848-go roku: „Oznajmiam głośno, że dnia 24-go lutego w południe jeszcze nie myślałem o rzeczypospolitej." „Człowiek potrzebujący — dodaje — nie potrzebuje być wielkim psychologiem, ażeby znaleźć lepiej od innych klucz do pobudek, którym ulega większość jemu podobnych, zwłaszcza, jeżeli są Francuzami i politykami z profesyi." Również kłopoty pieniężne Ludwika Napoleona znane były wszystkim. Ogłosiłem rzeczpospolitą — mówił do siebie zapewne Lamartine—popchnięty przez kwestyę pieniężną, inny mógłby z tego samego powodu starać się ją obalić." Dlatego też Lamartine radził 2-go marca 1848-go roku Napoleonowi na tajemnej schadzce, aby powrócił do Anglii.

Ten, którego nazywano wówczas „Badinguet," wierzył, jak wszyscy Napoleonidzi, w swoją gwiazdę i niewiele sobie robił z Lamartine'a. W owej właśnie chwili poznał go autor i powiada między innemi o nim, że „miał pewien wdzięk, który — wyraziwszy się paradoksalnie — płynął z jego niezgrabności." Mimo to fizyczny jego wygląd uderzał każdego, kto się z nim zetknął. Wydawało się, że jest morfinistą, ale co szczególniejsza, że wszyscy: Cavaignac, Thiers i Lamartine mieli go za głupca i rozsiewali to mniemanie o nim nietylko we Francyi, ale i w całej Europie.

Co do samego zamachu z d. 2 grudnia, dowiadujemy się kilku nieznanych szczegółów, a mianowicie, że lord Palmerston, powziąwszy niechęć do Ludwika Filipa za „małżeństwa hiszpańskie", zaczął popierać Ludwika Napoleona. Częste miewał narady z hr. Walewskim, tak jak Napoleon z Persigny'm w Paryżu co do najbliższej przyszłości. Powszechnie sądzono, że Napoleon, pomimo uroku jego imienia na armię, nie wygra sprawy, sam Napoleon wahał się jeszcze do ostatniej chwili, gdyż jeszcze dnia 20 listopada chciał zamach odłożyć na cały miesiąc, ale wtedy Persigny pokazał zęby i jako ostateczny termin wyznaczył dzień 2 grudnia. Tego samego dnia rano, Persigny otrzymał list z Londynu. List zawierał czek na 50.000 fr., zarazem wzmiankę, że są to ostatnie fundusze na wiadomy cel. Pokazał list Napoleonowi, a ten ustąpił natychmiast. Wysłano depesze w tejże chwili do Londynu i z pomocą to tych pieniędzy wykonano zamach stanu. Wszystkie zatem plotki o milionach, danych Saint-Arnaudowi, Morny'emu i Maupas'owi, są czystym wymysłem, przynajmniej według autora „Pamiętników".

Tegoż dnia w ambasadzie francuskiej w Londynie salony były natłoczone gośćmi. Palmerston rozmawiał bardzo żywo z Walewskim, a ciało dyplomatyczne znalazło się tu w komplecie. Natychmiast rozeszła się wieść, że Palmerston zgodził się urzędownie na zamach stanu, i że w tym celu wysłał notę do wszystkich ambasadorów angielskich, nie naradziwszy się nawet z kolegami.

W dalszym ciągu szkicuje autor wszystkie wybitne osobistości epoki drugiego cesarstwa, oraz inne drobne intrygi, nienawiści i zazdrości ulubieńców cesarskich, między innymi Morny'ego, niecierpiącego hr. Walewskiego. Tej ostatniej okoliczności przypisuje autor początek wojny meksykańskiej.

Charakter Persigny'ego stawia wyżej od charakteru Walewskiego i Morny'ego, najostrzej zaś sądzi Morny'ego, który przedewszystkiem wszelkimi środkami starał się zrobić fortunę. Walewski, jako syn Napoleona I, pogardzał nimi. Nie posiadając pogodnej ironii Morny'ego, rzadko kiedy odezwał się z czemś zasługującem na uwagę, ale działał za to często nierozważnie. On to, napisawszy raz komedyę, usłyszał od Montronda podczas pierwszego przedstawienia: „Po co to, panie hrabio? Tak panu było łatwo nie napisać komedyi w pięciu aktach".

Spotykamy tu mnóstwo jeszcze innych sylwetek i anegdot, lecz ponieważ epokę drugiego cesarstwa opisano już do znudzenia, nie chcemy obciążać pamięci czytelnika. Rouhera chwali autor tak samo, jak chwalił Guizota za jego bezinteresowność i czystość pobudek, chociaż nie ukrywa popełnionych przezeń błędów politycznych. Łączył on z pamięcią nadzwyczajną wielki talent naśladownictwa, który mu niezmiernie pomagał w karyerze parlamentarnej. Wytrzymywał bowiem wszelkie ataki z najwyższym spokojem, nie dając w niczem poznać najmniejszego wrażenia, nie notował nigdy, lecz potem, stanąwszy na trybunie, powtarzał argumentacyę przeciwnika, słowo w słowo, w takiejże samej intonacyi i z powtórzeniem tych samych gestów — co we wściekłość wprawiało Thiersa, i dopiero zwalczał go punkt po punkcie. Była to nietyle „dyskusya grzeczna", jak on ją sam nazywał, ile przewaga gry wielkiego aktora, walczącego bez litości bronią ośmieszenia, jak wiadomo zawsze najstraszniejszą.

Lord Palmerston, lord Cowley i lord Clarendon, mieli Napoleona III-go za awanturnika, z którego da się korzyść wyciągnąć. Książę Albert (mąż królowej Wiktoryi) twierdził, że Napoleon sprzedał duszę swą dyabłu; Cowley, gdy się go pytano, czy Napoleon mówi dużo, odrzekł: „Nie, ale kłamie zawsze".

Nadeszła epoka panny de Montijo, późniejszej cesarzowej. Stała się ona duszą zabaw w pałacu Elizejskim. Przez całe życie była z matką swą w podróżach, a Napoleon zapomniał starej przypowieści francuskiej: „Strzeż się kobiety, której kołyską był tłomok podróżny, a pensyonatem — table d'hote".

Kiedy nareszcie zapowiedzianem zostało małżeństwo z Eugenią, papiery publiczne spadły znacznie. Przedmieście Saint-Germain razem z orleanistycznymi salonami napadało brutalnie i szyderczo cesarską parę; Orleani mścili się za konfiskatę ich majątku, ogół również nie okazywał zadowolnienia, a mieszczaństwo wolteryańskie wyszydzało nielitościwie ustęp z przemówienia cesarza, w którym między innemi rzekł: „Mam pełną nadzieję, że wskrzesi ona (Eugenia) w podobnem położeniu cnoty cesarzowej Józefiny". Cnoty Józefiny, tego było zanadto już całej tej gawiedzi. Lecz cesarz wraz z żoną, choć nie obce im były te krytyki, nie dali bynajmniej poznać tego po sobie. Cesarz chciał nadto, ażeby uwierzono, że oprócz miłości ważne jeszcze pobudki polityczne zdecydowały go do tego małżeństwa. Chciał przez to rzucić rękawicę Europie monarchicznej, która niedosyć, że go nie chciała przyjąć jako członka jednej z rodzin panujących, ale jeszcze teraz stawiała przeszkody jego małżeństwu.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 18 stycznia.

P. prezydent M o c h n a c k i zagaiwszy wczorajsze posiedzenie udzielił głosu dr. D u l ę b i e, który przedłożył projekt odpowiedzi, jaką Rada ma przesłać Wydziałowi krajowemu na jego pismo z dnia 15 grudnia w sprawie budowy i utrzymania nowego teatru. Rada uchwaliwszy budowę teatru na pl. Gołuchowskich, postanowiła równocześnie wybudować teatr własnym kosztem i prowadzić go we własnym zarządzie, jeśli kraj do budowy przyczyni się subwencyą w kwocie 400.000 złr., a nadto, jeżeli wypłacać będzie teatrowi tę samą subwencyę, jaką dziś płaci scenie lwowskiej. Nadto przyznała Rada Wydziałowi prawo wysyłania delegatów do komisyi, zajmującej się budową teatru. O uchwale tej zawiadomiono Wydział, który przyjął ją do wiadomości, ale oprócz przyznanych mu praw w komitecie budowy, zażądał: 1) aby mu zapewniono wpływ odpowiedni na losy teatru, bez względu na to, czy on się będzie znajdował w zarządzie gminy, czy też w rękach dzierżawcy, a to przez przyznanie mu prawa zatwierdzania umowy dzierżawnej, która przed zatwierdzeniem nie może wejść w życie, a której wolno mu nie zatwierdzić, jeśli osoba dzierżawcy nie będzie odpowiednią na kierownika sceny: 2) aby mu przyznano prawo wstrzymania wypłaty subwencyi, jeśli kierownictwo teatru będzie złem i 3) aby zgodzono się, że wypłata subwencyi co roku zależeć będzie od każdoczesnej decyzyi Wydziału. Warunki proponowane przez Wydział krajowy są te same, jakie przyjęła gmina m. Krakowa w sprawie swego teatru. Dr. Dulęba w imieniu sekcyi II proponuje, aby gmina odpowiedziała, że zgadza się tylko częściowo na proponowane warunki a mianowicie, że zapewnia Wydziałowi krajowi wpływ na losy teatru w ten sposób, iż w komitecie nadzorczym nad sceną zasiadać będą także delegaci Wydziału krajowego, których liczba w swoim czasie zostanie oznaczoną. Również zgodzono się na to, aby Wydziałowi krajowemu przysługiwało prawo wstrzymania wypłaty subwencyi w razie złego kierownictwa teatru, ale tylko, wtedy, jeśli komisya nadzorująca scenę na to się zgodzi i rzeczywiście kierownictwo teatru uzna za nieodpowiednie.

Nad sprawą tą długa wywiązała się dyskusya. Dr. Byk, Syroczyński, Romanowicz, Rewakowicz przemawiali za przyjęciem warunków Wydziału krajowego, który tylko dobro sceny ma na oku; pp. dr. Piętak, dr. Maryański, Rawski, dr. Weigel, dr. Roszkowski popierali wnioski referenta.

W głosowaniu przyjęto wniosek dra Byka, aby Rada wyraziła tylko życzenie, iż pożądanem by było wytworzenie wspólnej kuratoryi nad teatrem lwowskim i pozostawienie jej prawa nadzoru nad teatrem, zatwierdzania umowy dzierżawnej itp., i aby w piśmie swem oświadczyła, iż liczy na subwencyę w kwocie 400.000 zł.

Następnie dr. M a ł a c h o w s k i przedłożył nowelę do zmiany statutu m. Lwowa. O projekcie tej reformy zamieściliśmy już w naszem piśmie obszerny artykuł, wyjaśniający jakie to mają być zmiany, przeto tu wywodów referenta powtarzać nie będziemy. Po przedstawieniu sprawy przez dra Małachowskiego, odczytano następujący wniosek p. Niemczynowskiego, podpisany przez 46 radnych.

Ustawa z dnia 14 października 1870 r., nadająca statut miejski miastu Lwowowi, łączy w sobie: ordynacyę wyborczą, prawa gminy, jej członków, jakoteż prawa i zakres działania Rady, a zważywszy zaś, że na porządku dziennym Rady państwa jest zmiana ustawy podatkowej i reforma wyborcza, które to ustawy wpłynąć mogą na ordynacyę wyborczą miasta Lwowa, przeto Rada miejska uchwali: Na zapytanie Wydziału krajowego, czyby Rada miejska nie uznała za stosowną potrzeby zmiany statutu z roku 1870 na zasadach późniejszych ustaw krajowych, odpowiedzieć, że na razie Rada miejska nie przystępuje do zmiany statutu i nie uchwala żadnych wniosków w tym kierunku, lecz dla uproszczenia i polepszenia administracyi magistratu, jakoteż wszelkich czynności w zakres Rady miejskiej wchodzących, postanawia na podstawie statutu z roku 1880, uchwalić odpowiedne regulamina.

P. r. Niemczynowski w długim przemówieniu motywował powyższy wniosek, a przemówienie swe zakończył nowym wnioskiem, aby Rada w październiku roku przyszłego urządziła uroczysty obchód ku uczczeniu ćwierćwiekowej rocznicy nadania miastu statutu z r. 1870 i aby na tę uroczystość zaprosiła żyjących dotąd twórców tego statutu, a w pierwszej linii JE. dra Smolkę i Ziemiałkowskiego.

Dr. Maryański oświadczył, iż dlatego sprzeciwia się uchwaleniu proponowanej przez referenta noweli do zmiany statutu, że sprawa ta nie była regulaminowo traktowana i że wobec projektowanych w Radzie państwa reform: wyborczej i podatkowej, które wpłyną na ordynacyę wyborczą m. Lwowa, sprawa poruszona przez referenta, jest niedojrzała.

Dr. Byk przemawiał za uchwaleniem zmiany statutu.

Na tem z powodu spóźnionej pory obrady przerwano. Następne posiedzenie w poniedziałek; toczyć się będzie na niem w dalszym ciągu dyskusya nad statutem.

Celem uniknienia wszelkich nieporozumień prosimy Sz. Pp. Czytelników, aby zechcieli zwrócić uwagę na warunki prenumeraty, umieszczone w nagłówku naszego pisma, jakoteż na cenę wszelkich „Doniesień prywatnych" o zaręczynach, ślubach, balach, podziękowaniach, nekrologach, pogrzebach itd itd.

Administracya „Przeglądu".

KRONIKA.

Lwów 18 stycznia.

Jordan dzisiejszy odbył się przy wyjątkowej temperaturze + 7° R. Dzięki temu było na rynku i w przyległych ulicach jeszcze tłumniej, aniżeli co roku. Uroczystość była, jak zawsze, połączona z paradą wojskową.

Dr. Aleksander Raciborski, nadzwyczajny profesor filozofii w uniwersytecie lwowskim, wniósł do senatu akademickiego rezygnacyę z profesury z powodu nadwątłonego zdrowia, wymagającego stałego pobytu na południu.

Jubileusz Bogusławskiego. Urządzony wczoraj w Kole literacko-artystycznem z powodu setnej rocznicy założenia teatru polskiego we Lwowie raut rozpoczął się kantatą, napisaną przed siedmdziesięciu laty na cześć Bogusławskiego przez znanego kompozytora Elsnera. Kantatę tę odśpiewali panie Kasprowiczowa i Skalska i pp. Borkowski, Lewicki, Zegarkowski. Nastąpił odczyt p. St. Schnür-Pepłowskiego, przedstawiający dzieje teatru lwowskiego od objęcia kierownictwa sceny przez Bogusławskiego, aż do oddania jej J. N. Kamińskiemu. Po odczycie p. Woleński wygłosił wiersz napisany przez Kamińskiego na cześć Bogusławskiego z powodu przedstawienia jego „Krakowiaków i Górali". Następnie grał p. Pollak i Wolfsthal, śpiewała panna Zapałkiewiczówna. Na raucie był p. Władysław Bogusławski, wnuk Wojciecha i p. M. Gawalewicz. Dziś wieczorem uroczyste przestawienie w teatrze.

Sejmik relacyjny. Dr. Karol Lewakowski złoży w niedzielę dnia 20 bm. o godzinie 4 po południu w sali ratuszowej we Lwowie sprawozdanie ze swych czynności w Radzie państwa.

Ułaskawienie. Cesarz — jak donosi *Diło* — ułaskawił Zygmunta Hoszowskiego, skazanego przez sąd przemyski za zamordowanie ks. Ardana, gr.-kat. proboszcza w Cykowie pod Przemyślem, na karę śmierci, najwyższy trybunał zaś skazał go na dożywotnie więzienie.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Rzeszowie rozpisała z terminem do 10 lutego konkurs na posadę nauczyciela rel. rz. kat. w żeńskiej szkole wydziałowej w Rzeszowie.

Walne zgromadzenie Towarzystwa Wzajemnej pomocy uczestników powstania z r. 1863/4 odbędzie się w poniedziałek o godzinie 4 po południu w sali kasyna miejskiego.

Wiadomości dyecezyalne. Archidyecezya lwowska obrz. łac.: Instytucyę kanoniczną na probostwo w Mogielnicy otrzymał ks. Józef Skwierczyński, proboszcz w Radatyczach; na probostwo zaś w Radatyczach ks. Antoni Sylwester, proboszcz w Mogielnicy. Administracyę excurrendo w Andrasfalwie powierzono ks. Janowi Kubasikowi, proboszczowi w Hadikfalwie. Administracyę osieroconej parafii w Trembowli powierzono ks. Józefowi Piaskiewiczowi, miejscowemu kooperatorowi, a probostwa w Podkamieniu ad Brody O. Franciszkowi Rączkowskiemu, subprzeorowi OO. Dominikanów tamże. Kooperatorem w Podkamieniu koło Brodów ustanowiony został O. Albert Nowiński Zakonu Kaznodziejskiego w Żółkwi. Jurysdykcyę otrzymał O. Tomasz Kotier z Zakonu Kaznodziejskiego w Podkamieniu koło Brodów przeniesiony do Konwentu żółkiewskiego. Konkurs na Tartaków i Trembowlę ogłoszony został z terminem do końca lutego 1895. Dyecezya krakowska: Przeniesieni: ks. Franciszek Szewczyk, koop. z Rychwałdu na ekspozyturę do Gilowic; ks. Michniak z Tyńca do Skawiny. Aplikowany do Rychwałdu na wikaryusza ks. dr. Jan Babicz. Uwolniony z posady wik. w Skawinie ks. Wojciech Dudziński; osiadł przy kościółku w Krzeczowie, parafii Lubień. Dyecezya tarnowska: Prezentę na probostwo w Słopnicach królewskich otrzymał ks. Józef Boxa, dotychczasowy wik. w Górze ropczyckiej.

Opady atmosferyczne we Lwowie w r. 1893. *Czasopismo techniczne* umieściło w 24 numerze zestawienie statystyczne, z którego wynika, że r. 1893 był w Galicyi wyjątkowym co do ilości opadów. Dotyczy to nietylko niektórych okolic, ale w ogóle całego kraju. W kilku miejscowościach roczne sumy opadów były dwa razy większe, jak zwykle. Lwów zajmuje w tym rachunku dość znaczną pozycyę. Opady w r. 1893 wyniosły tu 1319 mm., podczas gdy w r. 1892 wynosiły 843 mm. Średnia cyfra rocznego opadu atmosferycznego, wedle spostrzeżeń, robionych na obserwatoryum szkoły politechnicznej od r. 1882 do r. 1892, wynosi we Lwowie około 760 mm., a zatem suma opadu w r. 1893 była o 560 większą od przeciętnej cyfry. Najwięcej deszczu w r. 1893 spadło we Lwowie 23 lipca, bo 92.2 mm.

Z miasta nam piszą: Chłopki, trudniące się sprzedażą artykułów spożywczych, przynoszą na targi do Lwowa masło i ser obwinięte w chustki kolorowe na głowach noszone, w chustki od nosa, w kawałki pochodzące ze starej bielizny, a wczoraj widziałam masło obwinięte w kawałek starej koszuli. Na uwagę uczynioną z tego powodu, kobiety owe zaczęły się śmiać. Przecież w obec tego, że kupcom zakazano obwijać towary w stare papiery, możnaby zakazać ze względów zdrowotnych, by artykuły spożywcze wilgotne przynoszone były na targ albo w kubłach podobnych do wazoników lub owinięte w papier pergaminowy, tembardziej, że kobiety te kupują od szmaciarzy płatki płócienne, często na śmiecisku pozbierane, lub ze szpitali pochodzące.

Koń w kanale. Wczoraj na placu Gołuchowskich zdarzył się niezwykły wypadek. Przy odwilży, która od kilku dni panuje, pootwierano w różnych punktach miasta kanały, aby przez nie odprowadzić wodę, powstałą ze śniegu, którego magistrat nie zdecydował się jeszcze wywieść. Owóż na placu Gołuchowskich w otwór kanałowy wpadł koń dorożkarski. Zrobiło się zbiegowisko, zabrano się do wyciągania biednej ofiary porządków magistrackich, ale koń, zanim go na wierzch wydobyto, już się udusił.

Sprostowanie. W sprawie umieszczonego wczoraj w piśmie naszem artykuliku p. t. „Miły gospodarz" otrzymaliśmy sprostowanie jednego z zawartych tam szczegółów. Mianowicie p. Getritz polecił zatrzymać swego lokatora Huczkowskiego nie dwom czeladnikom, lecz stróżowi i chłopakowi, który nie jest jeszcze wyzwolonym na czeladnika. Oświadczenie to złożyli w naszej redakcyi dwaj towarzysze introligatorscy pp. Krzyżanowski i Grabowski, pracujący u p. Getritza.

Raj amerykański. W jednym z listów, pisanych z Chicago, czytamy: W lipcu r. z. wskutek wielkiej zmowy w zakładach fabrycznych Towarzystwa akcyjnego, którego głównym akcyonaryuszem i dyrektorem jest Pullman, słynny milioner i wynalazca wagonów sypialnych, prezydent Cleveland wyznaczył komisyę do zbadania przyczyny nieporozumień, które doprowadziły do tej zmowy, a następnie wywołały groźne rozruchy na wielu liniach kolejowych w Ameryce, używających wagonów Pullmana. Obecnie komisya ta ogłosiła drukiem rezultaty swoich badań. Poniżej podajemy ustępy z tego sprawozdania. Zakłady Towarzystwa znajdują się w miasteczku Pullman, odległem o godzinę drogi od Chicago, a stanowiącem własność Towarzystwa. Kościół w Pullman jest zbudowany kosztem Towarzystwa. Ksiądza opłaca zarząd fabryki. Siedzenia w ławkach są, tutejszym zwyczajem, wypuszczone w dzierżawę, opłata przytem dzierżawna, stosunkowo bardzo wysoka, idzie do kasy Towarzystwa, tak, że ksiądz jest właściwie tylko urzędnikiem Towarzystwa do zbierania tej opłaty i prawienia robotnikom tego, co mu nakaże zarząd fabryki. W miasteczku tem założono bibiotekę publiczną, kto jednak chce z niej korzystać, musi opłacać Towarzystwu 3 dolary rocznie. W miasteczku wolno ordynować tylko doktorowi fabrycznemu. Gdy który z robotników zostanie pokaleczony przy pracy, obowiązkiem doktora jest wydobycie od niego podpisu, że nie rości sobie żadnych pretensyi do Towarzystwa, w razie zaś przejścia sprawy na drogę sądową doktor musi świadczyć na niekorzyść robotnika. Wszyscy robotnicy muszą mieszkać obowiązkowo w domach, należących do Towarzystwa. Ceny mieszkań w tych domach są o 25 prc. wyższe, niż w Chicago, przytem wszystkie reperacye uskutecznia zarząd na koszt lokatorów. Wszelkie zapasy żywności, ubrania itd. robotnicy muszą kupować w sklepach stanowiących własność fabryki, a to pod groźbą postradania posady i płacić za wszystko ceny w dwójnasób większe, niż w Chicago.

W latach 1893 i 1894 Towarzystwo zmniejszyło stopniowo płacę robotnika tak, że koszt żywności i komornego nie tylko pochłania cały zarobek bieżący, ale nawet zmusza robotnika do zastawiania swych ruchomości w zarządzie fabryki. Prawo obowiązujące w stanie Illinois nie pozwala odciągać z płacy robotnika żadnych długów. Aby obejść ten przepis Towarzystwo nie płaci robotnikom gotówką lecz czekami, płatnymi tylko w banku Towarzystwa. Czeki są podwójne: jedne opiewają na sumę należną fabryce za komorne i inne należności, a drugie na taką sumę, jaka należy się ponadto robotnikowi. Bank Towarzystwa jest upoważniony do kolektowania od robotników należności za komorne, gdy więc robotnik zjawi się przy kasie z czekami, to otrzymuje za jeden z nich kwit opłaty komornego, a za drugi — gotówkę bez żadnych odciągań, zgodnie z literą prawa. Gdy robotnik zostanie już tak wyzyskany, że nie jest w stanie płacić wszystkich należności, to zarząd wydala go z fabryki

werbując natychmiast nowe ofiary, zwykle przez ogłoszenia w dziennikach.

Z Brodów donoszą, że prezydentem tamecznej izby handlowej wybrano p. Adolfa Byka, a zastępcą jego p. Michała Kulaka, aptekarza w Brodach.

Napoleon V. Dzienniki francuskie z okazyi rocznicy śmierci Napoleona III, obchodzonej dnia 9 bm. w Paryżu uroczystem żałobnem nabożeństwem, przypomniały rozpowszechniane przed laty wieści o tem, że młody książę Ludwik Napoleon, syn Napoleona III, przed wyjazdem do kraju Zulusów, gdzie zginął w potyczce, zostawił w Anglii syna z tajemnego ale prawnego małżeństwa. Dziennik *Eclair* podaje o tej sprawie nieznane dotąd informacye, które otrzymać miał od opiekuna syna Napoleona IV. Według tych informacyi *Eclaira* żoną księcia Ludwika Napoleona była niejaka Karolina Helly. Przed zaślubieniem księcia była ona żoną ubogiego pisarza w Londynie. Mąż jej umarł na suchoty, a ona, kobieta nadzwyczajnej urody, zwróciła na siebie uwagę księcia. Zawiązał się między nimi stosunek, który się zakończył małżeństwem. Karolina nie wiedziała, kim jest naprawdę jej mąż, bo wziął on z nią ślub pod przybranem nazwiskiem; dowiedziała się o tem dopiero wtedy, gdy wszystkie pisma londyńskie umieściły portrety młodego księcia, zabitego przez Zulusów. Przed kilku laty Karolina wyjechała z Anglii, nie mówiąc nikomu dokąd. Gdzie się dziś znajduje, nikt nie wie; przypuszczają tylko niektórzy, że jest aktorką w jednem z miast australskich. Synem jej zajął się jeden z angielskich dziennikarzy i umieścił go w kolegium katolickiem w Creswell-Park-Blackheath, gdzie dotychczas pozostaje. Ma lat 15, uczy się dobrze i w myśl zamiarów swego opiekuna ma po skończeniu szkół wejść do jednego z domów handlowych w Londynie.

Eclair wystawił nawet w swojej sali depesz dwa portrety: jeden, przedstawiający Karolinę, drugi jej syna, Napoleona V.

Notatkę tę powtarzamy za *Eclairem*, nie dając jej jednak wielkiej wiary.

W Czytelni katolickiej czytał wczoraj p. Leszek Dziama ustęp z obszernej pracy historycznej „O elekcyi Jana III". Rzecz ta pojawi się w druku. P. Dziama źródłowo uzasadnił twierdzenie, że wybór Sobieskiego był rezultatem dyplomatycznych zabiegów Francyi, która kandydaturę Kondeusza wysunęła jedynie w tym celu, aby przeszkodzić opanowaniu tronu polskiego przez kandydata Austryi.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 1° R. w poł. + 7° R. Bar. 158. Podnosi się. Pochmurno.

Zły obyczaj.

— Mój mężu, mógłbyś raz porzucić ten brzydki zwyczaj ciągłego trzymania rąk w kieszeni.

— Ależ, żonusiu, ja się tego nauczyłem od ciebie.

— Co za niedorzeczność! Przecież my w sukniach nie mamy nawet odpowiednich kieszeni.

— To też najczęściej trzymasz ręce w — mojej kieszeni!...

Teatr. Dziś w piątek uroczyste przedstawienie ku uczczeniu stuletniego jubileuszu Wojciecha Bogusławskiego: rozpocznie „Polonez" Kurpińskiego, nastąpi „Apoteoza" pióra Jana Kasprowicza, zakończy „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale". W sobotę „Faust". W niedzielę po południu „Wybory do rady miejskiej", wieczór „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale".

Literatura i Sztuka.

* **Opera.** Ażeby obudzić zajęcie muzyką tak anemiczną, jaką przeważnie słyszymy w „Faworycie," śpiewak musi posiadać ogromną muzykalność opartą sporym zasobem technicznych środków.

Pierwsza, wprowadzając energiczne akcenta, podnoszące mdłe frazesy do pewnego znaczenia, zabarwiając ten bezbarwny płyn temperamentem i nadając charakter więcej realny na pół sennej czy zaspanej kompozycyi, czyni nas nieobojętnymi dla opery. Technika wokalna zaś z łatwością i wdziękiem podająca częstokroć trudne melismatyczne figury, pozwala podziwiać głos podatny, miękki i ciepły.

W ten sposób podaje nam partyę swą p. Myszuga, to też wszystko, co on śpiewa, budzi zajęcie i nawet (jak arya w akcie IV) podoba się. Belcanto p. Jeromina również działa swoje. W ten sposób pojął wreszcie rzecz tę p. Szymański w roli Alfonsa. Duet z Leonorą w akcie II śpiewał z taką dyskrecyą i tak muzykalnym polotem, że mógłby w tej mierze być wzorem dla niejednego starszego śpiewaka. Sola swoje również otoczył szlachetnym wdziękiem i śpiewał je prawie bez zarzutu.

Co się tyczy p. Carnioli, to przymiotów potrzebnych dla osiągnięcia sukcesu tą partyą nie okazała. Traktowała ona ją jak solfedżje z podłożonym tekstem, monotonnie, blado, nie czując w muzyce tej interesu dla siebie, ani budząc go u publiczności. Głos, aczkolwiek znaczny i silny, nie posiadał wczoraj dość ciepła, by nas zająć i sympatycznie dla śpiewaczki usposobić. Gra jej natomiast posiadała dużo ożywienia, uwzględniała wiele szczegółów, tak, że wnosić można, iż w tej mierze zadowolni nas w dalszych występach zupełnie.

Zdekompletowana orkiestra zbyt często raziła złem brzmieniem, byśmy to przemilczeć mogli.

M. Sołtys.

* **Kronika muzyczna.** W nowojorskim „Metropolitan Opera House" grano premierę Hermana Bemberga „Elaine", z Melbą w roli tytułowej i ze współudziałem Reszków. O wartości muzycznej tego utworu nic jeszcze nie wiadomo, za to wiemy, że akt drugi jest napisany prawdziwie po amerykańsku. Scena przedstawia plac wyścigowy, na którym rozgrywają się turnieje konne. Dyrekcya teatru zaangażowała pierwszorzędnych jeźdźców dla zachowania całego realizmu i Amerykanie, którym, jak wiadomo, potrzeba koniecznie bardzo silnych efektów, mają wyborną sposobność połączenia od razu opery z wyścigami.

Jednakże w interesie prawdy, należy stwierdzić, że Nowy Jork wyróżnia się prawdziwem zamiłowaniem muzyki. Niestety, opera rezydująca w „Metropolitan Hous" przeznaczona jest jedynie dla śmietanki nowojorskiego towarzystwa tj. dla tych szczęśliwych, których los zrobił przynajmniej milionerami. Za dowód mogą posłużyć ceny miejsc: loża zaabonowana na cały sezon kosztuje 3.000 dolarów czyli 7.500 złr. na jeden wieczór lub poranne przedstawienie w każdym tygodniu 780 dolarów czyli 1950 złr., przyczem zauważyć należy, że sezon trwa ledwo 13 tygodni. Nawet parter jest stosunkowo drogi, bo np. fotele i krzesła w pierwszym rzędzie kosztują 5 dolarów tj. 12 zł. 50 ct.

Nic też dziwnego, że melomani nowojorscy są bardzo wymagający. Tegoroczny ensambl szczyci się pierwszorzędnemi imionami, wśród których spotykamy cztery polskie: Reszków, Grączewskiego i Hellerówny. Występ naszej artystki, jako Mignon, uwieńczony był wyjątkowem powodzeniem, co okazuje się z recenzyi pism tamtejszych. I tak *New-York Tribune* wyraża się o Hellerównie w sposób następujący: „Młoda artystka, oprócz bardzo zajmującej powierzchowności, jest obdarzona przymiotami, które składają się na wytworzenie pierwszorzędnej gwiazdy. Jest piękną, sympatyczną, poważną i inteligentną. Przymioty te odźwierciedlają się i w samym głosie". W równie sympatyczny sposób odzywają się o debiucie naszej artystki inne pisma, jak: *Goening Telegram Morning Journal, New-York Presse, New York Mailand Express, New-York Ev'y Post* i t. d.

Ameryka także jest w tej chwili miejscem tryumfu znakomitego, choć dziś już, wobec olbrzymich postępów w technice muzycznej, do przeszłości tylko należącego wirtuoza i kompozytora naszego, którym jest Antoni Kątski. O siedemdziesięcioletnim jubileuszu jego pracy muzycznej, urządzonym w Kalifornii, wspominaliśmy przed kilku dniami. Dla zaokrąglenia podajemy szczegóły z życia sędziwego artysty. Kątski urodził się w r. 1817 w Krakowie, gdzie już jako pięcioletnie dziecko, koncertował publicznie. Następnie kształcił się w Warszawie i Wiedniu. Pierwszą kompozycyą jego była muzyka do poematu „Dzwon" Szyllera. Jako pedagog wydał metodę gry fortepianowej i 36 ćwiczeń, przyjętych przez konserwatorya: berlińskie, paryskie i petersburskie. W r. 1848 koncertował z wielkiem powodzeniem w Madrycie, Lizbonie, Berlinie i Wiedniu; w Berlinie był nauczycielem księżniczki Ludwiki pruskiej, późniejszej królowej bawarskiej. W tym czasie napisał słynne „Przebudzenie się lwa". W Berlinie wydał 35 utworów na fortepian i orkiestrę. W r. 1870 odbył z żoną podróż koncertową po Europie i Ameryce. W Ameryce mieszka Kątski od r. 1883.

W drugi wieczór świąt Bożego Narodzenia otwarty został teatr medyolański „La Scala" premierą; dano mianowicie po raz pierwszy we Włoszech operę Reyera „Sigurd" (tekst Du Loclea i Blaua). Reyer mało jest znany po za granicami Francyi, gdzie uchodzi za wielkiego kompozytora, za francuskiego Wagnera, a w samym Paryżu ceniony jest jako wytrawny krytyk muzyczny w *Journal des Débats*. Treść opery „Sigurd" zaczerpniętą została z legendy skandynawskiej, z której korzystał również i Wagner do swoich oper „Zygfryd" (po skandynawsku Sigurd) i „Götterdammerung". „Sigurd" dany był po raz pierwszy w Brukseli w roku 1884, a w r. 1885 w Paryżu, gdzie się cieszy wielkiem powodzeniem i dotychczas nie schodzi z repertoaru. Innego losu doznało to dzieło w „La Scali". Publiczność włoska nie okazała zajęcia dla wielkiego dramatu muzycznego w stylu wagnerowskim. To też „Sigurd" doznał tu zupełnego fiasca i zaraz po pierwszem przedstawieniu zszedł z repertuaru. Wina tego niepowodzenia obciąża podobno przeważnie wykonawców, którzy nie przekroczyli granic mierności. Główne role śpiewali: panie Ada Adini, Łubkowska oraz Lafarge i Lorrain. Lepszego losu doznała opera Bizeta „Poławiacze pereł," odznaczająca się niezwykłą melodyjnością, pomimo słabego wykonania tej opery. Sprawa wystawienia „Tristana i Izoldy" Wagnera z panią Kaszowską w roli Izoldy, rozbiła się o opór Ricordiego, który bezwarunkowo odmawia Sonzognowi prawa wystawiania oper, będących jego własnością.

W Paryżu świat muzyczny przez parę tygodni był zaabsorbowany uroczystością na cześć Gounoda. Dnia 14 grudnia odbyło się tysiączne przedstawienie „Fausta". Gmach opry ozdobiony był sztandarami, wewnątrz zaś przedsionek i schody dekorowane były zielenią. Najlepsze siły interpretowały główne role. Partyę Małgorzaty śpiewały w Paryżu po kolei 32 artystki; trójca Reszków nasunęła się także pamięci Paryżan, gdyż Józefina Reszke śpiewała kiedyś Małgorzatę, Jan Fausta, a Edward Mefistolesa. Pierwsza twórczyni roli Małgorzaty, pani Carvalho, żona dzisiejszego dyrektora Opery Komicznej, który pierwszy wystawił „Fausta" w r. 1869 w teatrze Lirycznym, z domu panna Mislan, była też obecna na jubileuszu scenicznym Gounoda, którego mistrz już nie doczekał, choć nie wiele mu brakowało do tej uroczystej chwili. Dyrekcya chciała uczcić ten jubileusz jednorazowem przedstawieniem, ale na ogólne żądanie, tym razem rzeczywiście na ogólne żądanie, uroczystość powtórzoną być musiała trzy razy, aby wszystkim dać możność zobaczenia jej. Do zwyczajnego przedstawienia opery dołączono specyalnie na tę uroczystość ułożoną apoteozę Gounoda. Wkoło grupy, przedstawiającej Gounoda w pozycyi siedzącej, a za nim alegoryczną Sławę, głoszącą światu o jego dziele, ustawiło się dziewięć muz, reprezentowanych przez najpiękniejsze tancerki opery, dalej artyści opery i wszyscy, tonąc w jarzących promieniach światła elektrycznego, odśpiewali hymn na cześć mistrza, skomponowany przez Ambrożego Thomasa, ze słowami librecisty „Fausta", Juliusza Barbiera. Hymn ten brzmi:

Toi qui nous donnâs l'ame,
Qui sur nos fronts versâs le jour,
Qui dans nos coeurs versâs la flamme,
Les chants, les larmes et l'amour;
Toi dont le sort funeste
Respecte l'immortalité,
L'homme s'éteint, son oeuvre reste,
Et plane dans l'éternite;
Gloire à toi dans l'éternité!

Hymn ten stoi na wysokości Barbiera, ale niestety nie na wysokości Gounoda.

Pośmiertne dzieła Gounoda, będące obecnie własnością wydawcy Chaudans, ukażą się niebawem w druku. Składa się na nie: sześć preludyów na fortepian, arya wokalna pod tytułem „Repentir", napisana w r. 1893; Requiem i trzy msze, z których jedna żałobna.

„Hänsel i Gretel," śliczna opera młodego kompozytora Humperdinka, odbywająca obecnie tryumfalny pochód po scenach niemieckich, wystawiona została w tych dniach w operze nadwornej w Wiedniu, gdzie przyjęto ją z wielkiem zadowolnieniem. Niektórzy krytycy wykazują z partyturami Wagnera w ręku, że Humperdink czerpał motywy z „Meistersingerów". Zdaniem innych zarzut ten jest niesłuszny. Opery wagnerowskie, z wyjątkiem „Lohengrina" i „Tannhäusera," pisane są jakby wyłącznie dla uczonych muzyków; opera Humperdinka jest wagnerowską, ale pisaną dla publiczności. Jest to szkoła, metoda, sposób kształtowania wagnerowski, jest wspaniała instrumentacya, pełna niespodzianek, jest malowidło, ton, frazowanie, symfoniczność, nie zapożyczone z kompozycyi Wagnera, ale na nich kształcone. Zarazem jednak jest położony przeważny nacisk na melodyjność, na wdzięk i na humor. Opery Wagnera przedstawiają bajecznych ludzi, półbogów; Humperdink przedstawia bajeczne dzieci, a z niemi urok przyrody i baśni. Uwertura, symfonia anielska, duet dzieci, ich modlitwa, ich taniec, śpiew miotlarza, jego opowieść o czarownicy, kukułki, echo i tryle przedrzeźniające ptaki leśne, są to perły prawdziwe, piękne i zupełnie oryginalne.

Nieszczęście chciało, że to pierwsze przedstawienie opery Hunperdinka omal nie stało się powodem paniki pożarowej. Jest w tej operze epizod taki, że palą czarownicę na stosie; otóż pewna część zarzewia wypadła na scenę i poczęła buchać płomieniem. Większość widzów sądziła, że jestto tylko efekt sceniczny i nie niepokoiła się wcale. Dopiero gdy na scenie ukazały się błyszczące hełmy strażaków i jeden z nich zmoczonem płótnem zdusił płomień, spostrzeżono, że było niebezpieczeństwo, ale zostało stłumione w samym zarodku. Publiczność dosiedziała spokojnie na miejscach i „Hänsel und Gretel zakończyła się bez żadnych dalszych epizodów.

„Pajaców" Leoncavalla przedstawiono w tych dniach w Bordeaux z wielkiem powodzeniem. Było to pierwsze przedstawienie tej opery w granicach Francyi, Paryż bowiem nie mógł się dotąd na to zdecydować. Większe miasta „prowincyonalne" we Francyi od pewnego już czasu wyzwalają się z pod tyranii stolicy i nie po raz pierwszy ją wyprzedzają. Tak samo bowiem „Tannhäuser" Wagnera wystawiony był już w Lugdunie, a obecnie dopiero Wielka Opera paryska zamyśla o studyach nad tą operą.

„Herman i Dorota", znany poemat Göthego, posłużył za treść do opery francuskiemu kompozytorowi Fryderykowi Le Rey. Libretto wykroił deputowany Julien Goujon. Nowość przedstawioną będzie najpierw w Rouen w Téâtre des Arts.

Miguel Echegaray, brat Josego, znanego dramaturga hiszpańskiego, napisał tekst do dramatu muzycznego p. t.: „Dominga de Ramos" (Palmowa niedziela). Muzykę komponuje Tomasz Breton, autor opery „Kochankowie z Teruel". „Donna Diana", oto tytuł opery Czecha Rzezniczka, która wystawiona została w ubiegłą niedzielę w Pradze czeskiej ze znacznem powodzeniem.

Nieśmiertelny marsz Szopena znany jest nawet w Japonii. Niedawno odbyło się tam doroczne uroczyste nabożeństwo żałobne za żołnierzy, poległych podczas jakiejś wyprawy wojennej. Miejscem parady jest Tokio. Gmach świątyni otacza w zwartych szeregach załoga stolicy. Po uroczystości kościelnej wojsko odchodzi przy dźwiękach marsza. Pewien dziennikarz angielski, usłyszawszy kilka taktów szopenowskiego marsza, zapytał kapelmistrza, co też grają. „It is a piece of Shopin's march" — odparł Japończyk. Dla muzyki polskiej jest to rzeczywiście niemały tryumf.

Głosy publiczności.

Kiedy przed 10-ciu laty stolica naszego kraju 400-letnią pamiątkę zejścia Bł. Jana z Dukli urodz. 1413. Patrona Rusi i Polski z taką czcią i okazałością obchodziła — obnosząc szczątki tego Błogosławionego po ulicach starego grodu w tryumfie, do wspaniałej świątyni i niepoślednie miejsce zajmującej w Lwimgrodzie; czuło zaiste serce wierzące każdego Polaka, że naród, który tak czci pamięć przodków, nie zginie! Bo też cześć tego Błogosławionego istotnie gdzie Jego spoczywają szczątki jest wielką, a tu zaś, gdzie się urodził, tj. w Dukli, jest wprawdzie ku Jego czci wystawiony kościół, ale w tak opłakanym stanie, iż nie długo trzebaby czekać a ten pomnik czci i chwały stanie się kupą gruzów — gdyż już na nim wszystko niszcząca ręka czasu wyryła swe piętno! Ludek tu wierzący, lecz bardzo ubogi, bo okolica górzysta i nieurodzajna, więc choćby chciał, nie ma czem poratować! Fundatorowie zaś, Wandalin i Józef Mniszkowie z Kazimierzem Łętowskim, nie mieli nawet na tyle czasu sposobnego, by o zabezpieczeniu swego dzieła na przyszłość pomyśleć — a zaś obecna pomoc wysokiego Rządu zaledwie na utrzymanie sześciu członków zakonu i służby przy kościele jest wystarczająca. Dla tego jeszcze w zeszłym roku wniósł podpisany pokorną prośbę do Wysokiego Sejmu i uzyskał wsparcie 500 złr. lecz, że plan restauracyi wynosi 7.000 złr. przeto na tegoroczną sesyę Wys. Sejmu powtórzył swą petycyę, prosząc o pomnożenie subwencyi, bo do tego czasu ma zaledwie 700 złr. a to z łaski Najmiłościwszego Monarchy 200 złr., od hr. Krasickiego 100 złr., od p. Dłużniewskiej 50 złr., od p. Trynkiewicza 45 złr., reszta z drobnych składek i kilkadziesiąt sztuk drzewa z łaski najprzewielebniejszego Ordynaryatu Przemyskiego obrz. łać. jakoteż przyrzeczoną dalszą pomoc w tym względzie od szczególniejszego swego dobrodzieja JW-go hr. Męcińskiego, lecz to wszystko jest jeszcze mało aby pomyśleć o rozpoczęciu restauracyi. Udaję się przeto do wszystkich wierzących z pokorną prośbą, by choć najmniejszym datkiem wspomogli i temu zbożnemu nie dali zaginąć dziełu! a Bł. Jan z Dukli, przed Którego ołtarzem, co czwartek odprawia się Msza św. za Dobrodziejów, stokrotnie Wam to wynadgrodzi!

Dukla, dnia 16 stycznia 1895.

O. Maurycy Miętus, przełożony klasztoru.

O łaskawe powtórzenie niniejszej odezwy uprasza pisma krajowe podpisany.

Własny dom kolonii wakacyjnych. Towarzystwo kolonii wakacyjnych dla dziewcząt poczuwając się do wdzięczności dla Dr. Karola Zaleskiego w Sanoku za jego wspaniałą ofiarę, składa niniejszem gorące podziękowanie wielkodusznemu swemu dobroczyńcy. W miejsce uświęconej zwyczajem uczty przy poświęcaniu nowego swego domu, Dr. Zaleski wyrzekając się przyjemności ugoszczenia przyjaciół, wolał dzień ten pamiętnym uczynić przez wyświadczenie łaski, najszlachetniej pojętej. Oto ofiarował towarzystwu naszemu 1050 m. kwadr. ze swego gruntu w Mikuliczynie, znanym ogólnie ze znakomitego powietrza i kąpieli w Prucie — pod budowę własnego domu, odpowiadającego wszelkim wymaganiom hygieny. Oprócz tego pozwala Dr. Zaleski korzystać kolonistkom z pobliskiego lasu.

Czem jest ten wspaniałomyślny dar dla towarzystwa, istniejącego jedynie z dobroczynności publicznej, a więc pozbawionego wszelkich stałych dochodów, podnosić nie potrzebujemy, bo możność wybudowania własnego domu, według potrzeb towarzystwa i to wybudowania go w miejscu, tak pod każdym względem znakomitem, nie potrzebuje komentarzy. To też słów prawdziwie nie mamy na wyrażenie naszej wdzięczności, więc tylko w imieniu biednych dziewczątek naszych, które po całorocznej pracy i całorocznej nędzy, będą mogły wzmocnić swe młode siły w uroczej ustroni górskiej, zasyłamy Dr. Zaleskiemu z serca płynące: „Bóg zapłać!" — Przeświadczenie spełnienia pięknego czynu, którego owoce tak niezmiernej są wagi dla społeczeństwa, będzie dla ofiarodawcy milszem niezawodnie niż wszelkie nasze dziękczynienia, bo samo powzięcie myśli tego daru daje nam miarę wielkości jego duszy i zrozumienia obowiązków obywatelskich. Raz jeszcze więc powtarzamy: Bóg zapłać."

Wanda Gostkowska, przewodnicząca towarzystwa kolonii wakacyjnych dla dziewcząt.

Podziękowanie. Czuję się w miłym obowiązku złożyć na tem miejscu najgorętsze podziękowanie Jaśnie Wielmożnemu Panu Aleksandrowi hr. Wodzickiemu w Olejowie za dar 50 złr. ofiarowany dla św. Cerkwi w Harbuzowie i wznoszę modły do Wszechmogącego Stwórcy, aby szczodrego dawcę swymi nieprzebranymi dary zawsze błogosławił!

Harbuzów dnia 31 grudnia 1894.

Ks. Maryan Zajączkowski

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 stycznia.

(Z) Prawdziwie zagadkową jest nasza giełda. Najważniejszy wypadek w dziedzinie polityki międzynarodowej, jak ustąpienie prezydenta republiki francuskiej, który na wszystkich targach europejskich wywołał silne zaniepokojenie, nasza giełda przyjęła jak zwykłą wiadomość kronikarską i jakby na przekor wszelkim tradycyom, wszelkiej loice, właśnie dziś rozwinęła największą hausse. Sprzedaże ostatnich dni ustały dziś zupełnie, a kredyty w ciągu godziny dosięgły najwyższego kursu, jaki miały w tym roku. Kontrmina berlińska liczyła dziś na pewno, że z Wiednia napłynie dużo materyału, gdy jednak pokazało się, że Wiedeń nietylko nie sprzedaje, lecz przeciwnie kupuje skrzętnie każdą wystawioną na sprzedaż partyę, uznali zniżkowcy berlińscy, że są bezsilni i nie próbowali nawet stawiać oporu temu niczem niewytłomaczonemu prądowi. Tak więc targ berliński, który od czasu sprawy Dreyfusa, nieufnem okiem patrzył na wypadki we Francyi, dziś wbrew własnej woli musiał przyłączyć się do zwyżki.

W ostatniej godzinie znaczne sprzedaże arbitrażu na rachunek Paryża wywarły pewien nacisk na kursa, w każdym razie jednak kredyty zamknięto kursem o 4½ zł. wyższym od wczorajszego, węgierskie o 8½, a także w innych papierach zwyżka jest bardzo znaczna. Austryacka renta koronna bez przerwy idzie w górę a kurs jej jest już o ¹/₁₀% wyższy od renty wspólnej, dającej wyższy procent.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 415·10, węgierskie 507·—, Anglobanki 183·90, Uniony 316·75, Bankvereiny 158·—, Länderbanki 284·60, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 297·50, Elbathale 276·50, Renta papierowa 100·60, srebrna 100·70, austryacka złota 125·60, 4% austr. renta wal. kor. 100·95, węgierska złota 124·20, 4% węgierska renta wal. kor. 98·90, dukat 5·81, 20-frankówka 9·86½, marki 12·15, ruble 1·33½.

Wiedeń 16 stycznia. Spirytus 15·80—16.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 18 stycznia. Minister Madeyski powrócił tu wczoraj.

Berlin 18 stycznia. Parlament niemiecki przyjął w drugiem czytaniu wniosek centrum zniesienia banicyi zakonu OO. Jezuitów. Przeciw temu wnioskowi głosowali konserwatyści, stronnictwo państwowe, stronnictwo liberalne i Rickertowska frakcya wolnomyślna.

Medyolan 18 stycznia. Jeneralny prokurator tutejszego trybunału apelacyjnego Celli zasztyletowany został wczoraj w swem biurze. Mordercę uwięziono. Zgłaszając się na audyencyę do prokuratora, podał on zmyślone nazwisko, a gdy go wpuszczono, rzucił się w jednej chwili na ofiarę i pchnął ją sztyletem w gardło. Ostrze sztyletu przerznęło arteryę, to też Celli zginął niezwłocznie. Prawdopodobnie jest to anarchista. Nie chce on odpowiadać na żadno pytanie, a utrzymuje, że nazywa się Attilius Bellochio. Podobno jest to znany złoczyńca, który już 18 lat przesiedział w więzieniu i 16 razy karany był za kradzież.

Paryż 18 stycznia. Wczoraj wieczorem wręczyli wszyscy członkowie gabinetu p. Dupuy nowemu prezydentowi swą dymisyę, jednak prowizorycznie będą nadal sprawowali swój urząd.

Grupa posłów socyalistycznych wydała manifest, w którym protestuje przeciw wczorajszemu aktowi wyboru prezydenta i obwinia swych przeciwników o to, że chcą dalej prowadzić walkę przeciw demokracyi i opóźnić reformy socyalne.

Umiarkowane i republikańskie pisma przyjęły wybór Faure'a sympatycznie.

Pisma radykalne i socyalistyczne oświadczają, że wybór Faure'a oznacza dalsze trwanie dzisiejszego stanu dwuznaczności i braku wszelkiej trwałości.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
we Lwowie — ulica Trzeciego Maja, 3.

Przyjechali dnia 17 stycznia. L. hr. Starzyński z Podkamienia. R. Swozil z Tarnopola. A. Perger z Wiednia. J. Perger z Wiednia. A. Bogusławska z Warszawy. A. Micewski z Krechowa. W. Barański z Doliny. K. Buchenthal z Filadelfii. A. Skrzyński z Żurawna. W. Rogoyski z Tarnowa.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spka.
we Lwowie — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 17 stycznia. Bolesław Heller z Buczacza. Stanisław Gałecki z Kladany (Bośnia). Marya Wolgner z Komarówki. Adolf Graf rotmistrz z Złoczowa. Stanisław Chojecki z Rudki. Jan hrabia Beyzym z Chyrowa. Franciszek Nazyjewski z Krakowa. Antoni Hołodyjski z Skałatu. Oberstlieutenant Nachodsky z Bukaczowiec.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 18 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217— do 220·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 297.— do 300·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 452.— do 462.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku pipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·20 do 101·90, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·— do 97·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 97·80 do 98·50, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los. w 56 lat. 97·20 do 97·90.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·30 do 98— Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do 000.00, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 do —·—, 4 pół proc. 100.— do 100·70, 4 proc. z r. 1891 96.80 do 97·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97·40 do 98·10.

Monety Dukat cesarski 5·79 do 5.89, Napoleondor 9.81 do 9.91, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30 do 1.34, 100 marek niemieckich 60.60 do 61·—.

Wiedeń 17 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 415·75, węgierskie kredyty 506.50, anglobank 183.—, bankverein 157.75, unionbank 315.25, länderbank 284.30, staatsbahny 401.75, lombardy 105.50, elbethale 277·50, akcye tytoniowe 230·—, rima 281.50, alpiny 90·30, renta majowa 100.65, węg. renta złota 124.30, austr. renta koronna 101.—, losy tureckie 73.25, węg. renta koronna 99·10, marki 60.86, ruble 133.50.

Wiedeń 18 stycznia (godz. 11 w połudn.) Kredyty 416.25, kred. węg. —.—, Anglobanki 181.40, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 285.—, Akcye tyton. 231.—, Staatsbahny 401.65, Lomb. (z kup.) 105.—, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.82, Losy tureckie —·—.

RUCH POCIĄGÓW.

Czas środkowo-europejski, wcześniejszy od lwowskiego o 36 minut.

Odchodzą do:	Pociągi pospieszne		Pociągi osobowe		
Krakowa, Wiednia Wrocławia, Berlina	2·24	10·10	4·30	10·35	6·55
Warszawy	—	10·10	4·50	—	6·55
Chabówki (Zakopanego) via Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Przemyśl	—	—	—	10.35	—
Chabówki przez Stryj	—	—	9·50	7·10	—
Muszyny Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów lub Rzeszów	—	10·10	—	—	—
Muszyny-Krynicy, Żeg. przez Tarnów	—	—	4·50	—	—
M.-Kr. Żeg. przez Stryj	—	—	—	7·10	
Mezö-Lab., Szczawnego Kulasznego via Przemyśl	—	—	—	—	6·55
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	10·10	4·50	—	—
Podw. i Brod. z dw. gł.	6·08	2·44	9·40	10·20	—
" " z Podz.	6·22	2·36	10·04	10·47	—
Suczawy	6·15	—	10·15	2·55	10·30
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	2·55	—
Husiatyna przez Halicz	6·15	—	—	—	10·30
Słobody rung. Kopalni	—	—	10·15	—	10·30
Nowosielicy	6·15	—	—	—	10·30
Berhometu, Czudyna	6·15	—	—	—	—
Radowiec	6·15	—	10.15	—	10·30
Kimpolungu	6·15	—	—	2·55	—
Sokala	—	—	9·20	6·45	—
Bełzca	—	—	9·20	—	—
Borysławia przez Stryj	—	—	5·40	9·50	—
Ławocznego, Munkacza Szereucz Miskolcz. Peszt Chyrowa przez Stryj	—	—	5·40	—	7·10
Stanisławowa, Doliny, Bolechowa przez Stryj	—	—	—	9·50	7·10
Skolego i Chyr. via Stryj	—	—	—	9·50	—
Stryja i Skolego	—	—	—	8·05	—
Przychodzą z:					
Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia)	2·32	5·25	9·00	6·10	9·00
Warszawy	—	5·25	9·00	—	9·00
Chabówki (Zakop.) przez Przem. Rzesz. lub Tarn.	2·32	—	—	—	—
Chabówki przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Chabówki przez Stryj	—	—	8·34	—	—
Muszyny-Krynicy, Żegiestowa przez Tarnów	—	—	—	—	9·00
Musz.-Kryn. Żeg. przez Rzeszów lub Tarnów	—	5·25	—	—	—
Mezö-Lab., Szczawnego-Kulesz. przez Przemyśl	—	—	9·00	—	—
Nadbrzezia i Tarnobrz.	—	—	—	6·10	—
Podw. i Brodów dw. gł.	2·12	9·29	9·10	5·45	—
Podw. i Brodów Podz.	1·58	9·15	8·45	5·19	—
Suczawy	9·40	—	7·37	12·27	6·35
Kimpolungu	9·40	—	7.37	—	—
Radowiec	9·40	—	7·37	—	6·35
Berhometu i Czudyna	9·40	—	—	—	—
Nowosielicy	9·40	—	7.37	—	—
Słobody rung. Kopalni	9·40	—	—	—	6·35
Husiatyna przez Halicz	9·40	—	7.37	—	—
Czortkowa przez Halicz	—	—	—	12·27	—
Borysławia przez Stryj	—	—	2·02	12·10	—
Bełzca	—	—	—	4·45	—
Sokala	—	—	7·48	4·45	—
Ławocznego (Pesztu, Misk., Sz. Munk.) Chyr. i Stanisl. przez Stryj	—	—	8·34	12·10	—
Stryja i Skolego	—	—	5·47	—	—
Skolego, Chyrowa i Stanisławowa przez Stryj	—	—	2·02	—	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Później dopiero nabył mglistego jakiegoś pojęcia o białej sukni przepasanej powiewną szarfą, spiętą u boku gałązką polnej róży, o maleńkim słomianym kapelusiku marynarskim i o atmosferze wdzięku, młodości i niewinności, która go nagle zewsząd owiała.

Gracya, wyrwana w ten sposób z głębokiej zadumy o przyszłym swoim mężu, okryła się głębokim rumieńcem, nie mogąc na razie rozróżnić marzenia od rzeczywistości. Potem jednocześnie z ust obojga wyrwał się wykrzyknik:

— Andrzej Marlowe!

— Gracya Brande!

Była szczerze, serdecznie rada, że go widzi i powiedziała mu to otwarcie, podając ciepłą, małą rączkę na powitanie, jak młoda kasztelanka przyjmująca gościa w obrębie swego państwa. Potem oboje zaczęli rozmawiać w najzwyczajniejszy sposób, jak dawni, dobrzy znajomi. Szli obok siebie, zamieniając różne uwagi i spostrzeżenia nad pięknością okolicy i błękitem nieba, kiedy nagle maleński tomik, oprawny w ponsowy safian, wysunął się z za przepaski Gracyi i upadł na ziemię. Andrzej schylił się, aby go podnieść, a rzuciwszy okiem na okładkę, wyczytał tytuł: „Śpiew Narcyzów".

— O! miss Brande! — zawołał cały zapłoniony. — Jak można czas tracić na takie czytanie?

— Lubię pańskie wiersze — odparła, rumieniąc się także. — Chciałabym więcej takich poetycznych kwiatów.

— Wiosenne narcyzy kwitną tylko w marcu, a że świat wtedy ogołocony z kwiecia; więc ludzie muszą się nawet i niemi kontentować — rzekł Andrzej, przerzucając kartki książki i widząc z głęboką radością, że różne ustępy zostały podkreślone ołówkiem.

— Nikt nie uwierzy — rzekł — jaka to przyjemność dla autora, jaką mu to daje otuchę i podnietę do pracy, kiedy widzi, iż ktoś zadaje sobie trud czytać jego gryzmoły.

— Nie czytuję nigdy gryzmołów — poprawiła go poważnie Gracya — a tem mniej podkreślam je. Narcyzy mogą kwitnąć w marcu, ale potem nastaje pora róż i lilij.

Andrzej objaśnił Gracyi, iż przyszedłszy pieszo przed południem z Cotteslow, był właśnie w drodze do Swanbourne, aby rodzicom i jej złożyć pierwszą wizytę.

— Jakie to szczególne — dodał — że nigdzie dotąd nie spotkałem pani od czasu kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką w krótkich sukienkach.

— I kiedy obawiałam się pana okropnie jako dorosłego studenta uniwersytetu oxfordzkiego.

— Moja matka tak wiele zawsze mówiła mi i pisała o pani.

— Lady Zuzanna jest bardzo łaskawą dla mnie. Towarzystwo takiej osoby jak ona starczy za edukacyę.

— A pani obecność w jej domu jest prawdziwem dobrodziejstwem. Starszym kobietom zawsze dotkliwie uczuwać się daje brak córek; one przywracają im drugą młodość.

— Dlaczego to starzejący się ludzie zawsze chcieliby się odmłodzić? — rzekła Gracya zamyślona. — Zapominają, jakie to ciężkie przejście ta młodość.

— Młodość... ciężkie przejście? Co też pani mówi? Pierwszy raz słyszę coś podobnego...

— Młodość jest tak bezsilna, bezwłasnowolna, niezaradna i taka nieświadoma wielu rzeczy — odparła Gracya. — Nie okupiła jeszcze swego doświadczenia.

— Ach!... — ciężko westchnął Andrzej, zasępiwszy się nagle tak, że młoda dziewczyna popatrzyła na niego zdziwiona.

— Doświadczenie jest to kosztowny i cenny nabytek — rzekł po chwili ostrym, zmienionym głosem, chmurnem okiem tonąc w przestrzeni. — Szkoda tylko, że zawsze przychodzi zapóźno. Można je zużytkować w formie dobrej rady dla drugich, ale któż dziś kieruje się cudzą radą?

— Niech mi tylko pan wskaże, czem można kupić sobie doświadczenie, a zapłacę za nie cenę, jakiej zażądają — odparła Gracya z goryczą.

Andrzej stał zapatrzony w bretońskie wybrzeża; na te słowa odwrócił się nagle i spojrzał na tę piękną młodą dziewczynę, stojącą przed nim w śnieżystej bieli, ze smutkiem na czole, bogatą, wypieszczoną, otoczoną hołdami rojów wielbicieli, mającą wszystko co urok życia stanowi, a tęskniącą za czemś nieokreślonem i domagającą się gorzkiego owocu doświadczenia, które jest odmienną nazwą, jaką ludzie dają bólom i zawodom swoim. Dokoła jej wdzięcznej postaci krążył rój blado różowych motyli, a jemu rwało się na usta:

— Bądź podobną do nich... bądź uosobionym wdziękiem, lekkością i weselem, a nie myśl o niczem, tylko o używaniu chwili obecnej.

Ale smutek rozlany na jej ślicznej twarzy powstrzymał go od wypowiedzenia tej rady tchnącej cynizmem goryczy.

— Niech panią Bóg strzeże, abyś okupiła swoje doświadczenie! — zawołał, patrząc na nierozkwitłe pączki róż u jej gorsu i porównywając je do niej samej. — I cokolwiek bądź pani uczynisz... nigdy... przenigdy nie oddaj ręki twej z litości — dodał niemal porywczo, ale opamiętał się w jednej chwili. — Mówię w przenośni, rozumie się — poprawił się szybko. — To znaczy, nigdy nie działaj pani w pośpiechu.

— O! — z uśmiechem odparła Gracya — nie jestem przecież do tego stopnia niedorzeczną. Oddawać rękę swoją z litości, to równa się zbrodni.

On drgnął nieznacznie jakby ukłuty w samo serce i poszli dalej, rozmawiając swobodnie, jakby chcieli wynagrodzić sobie długie lata stracone. Ale czy to się godziło tak przywłaszczać sobie jego towarzystwo wtedy, gdy szedł z zamiarem odwiedzenia jej matki? Może on ją brał za płochą, pustogłową dziewczynę i za cóż poczytywał jej śmiałość? On bo nie był ani płochy, ani banalny. I naraz w pamięci stanęła jej ta wymarzona postać przyszłego męża, którego mgliste widzenie spłoszyło niespodziane zjawienie się Andrzeja.

Na tę myśl śliczna panna spłonęła rumieńcem. Widzenie zblakło i straciło cały swój urok. Co się tyczy pana Marlowe było w nim coś, co ją mimowoli drażniło, ale sama nie umiała tego określić. Może to, że był zanadto uczonym. Zawsze obawiała się potrosze tej uczoności syna lady Zuzanny. A może też te bystre jego czarne oczy, które zdawały się patrzeć tak przenikliwie, wyczytały na dnie jej duszy tajemnicę dziewiczych marzeń? Na samą myśl o tem zadrżała, że gorąco jej się robi. Za jakąż sentymentalną idyotkę on ją musiał poczytywać! A może lady Zuzanna znudziła go opowiadaniem o jej wrzekomych doskonałościach i przedstawiła ją w zbyt świetnych barwach tak, że teraz czuł się zawiedzionym nie znalazłszy tego, czego się spodziewał... Ha! niech sobie zresztą myśli, co mu się podoba. To jej nic a nic nie obchodzi.

Choć nieznacznie przyśpieszała kroku, ale droga, jaką mieli przed sobą, zabierała im dosyć czasu. Marlowe zatrzymywał się co chwila, zadając pytanie co do każdej miejscowości, którą mijali.

— Między tym oto punktem a Ameryką nie musi być nic — rzekł, laską wskazując na zachód.

— Tylko powietrze, przestrzeń, morze, krąg ziemi i zapewne kilka okrętów — odparła. — A czy pan wiesz, na co spoglądasz teraz? — dodała, gdy obrócił się twarzą ku niej, zostawiając Amerykę swemu losowi.

— Na panią — odrzekł.

— Tak; ale za mną leży kraina cudów i baśni, legend i duchów. Spoglądasz pan na Bretanię.

On zbladł na te słowa i skrycie, badawczo popatrzył na nią, potem przyśpieszył kroku. Długie milczenie zapanowało pomiędzy nimi. Szli zamyśleni, a smutek, który zasępił lica Andrzeja, odbił się na myślach jego towarzyszki.

Na zakręcie lipowego szpaleru cały szwadron malców wpadł na nich z radosnym okrzykiem:

— Gracya! Gracyjka!

Najmłodsza dziewczynka została schwytana przed Marlowa i niesiona w tryumfie na jego ramieniu; reszta małych swawolników towarzyszyła im, czepiając się rąk i fałdów sukni starszej siostry.

Dzień był zbyt pogodny i ciepły, aby siedzieć w pokoju.

Pani Forde Cusacke przyjęła więc gościa w ogrodzie pod rozłożystym cedrem, gdzie niebawem podano herbatę. Cienie zachodzącego wieczora wydłużały się sennie na strzyżonych trawnikach, roje pszczół brzęczały wśród rozkwitłych i wonnych lip, niebo stawało się coraz przeźroczystsze, słońce nabierało blasku roztopionego złota, a Andrzej pojąc się urokiem cudownej chwili i potakując bezmyślnie wszystkim zdaniom pana Forde Cusacke, który, ilekroć tylko znalazł cierpliwego słuchacza, zwykł całą rozmowę zagarniać dla siebie, myślał w duchu, patrząc na białą postać Gracyi, krzątającą się spokojnie około herbaty wśród grona młodszego rodzeństwa.

Cdn.

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządza W. Hodak.